

Księga trzecia  
*1496-1503*

---

## Zamek i las

Przeszedłszy przez most zwodzony i minąwszy wewnętrzny podwórzec gospodarczy bracia skierowali się wzdłuż fosy zamkowej w tę stronę ogromnego czworoboku lidzbarskiego zamku, która najkrótszą drogą prowadziła do lasu.

Andrzej zmienił się ostatnimi czasy na korzyść, stał się spokojniejszy i mniej zadziorny. Pociągał go las i Mikołaj nie miał nic przeciw temu, by wypuszczać się razem z nim na dalekie spacery. Może dobrze wpłynęły na brata niższe święcenia duchowne, które obaj przyjęli zimą w Chełmnie? Może wywarło nań błogosławiony wpływ klasztorne życie u boku dobrej siostry — ksieni tamtejszych cystersek? Choć przecież święcenia przyjęli z pewnym wyrachowaniem, subdiakoniat potrzebny im był po prostu dla uzyskania poparcia kapituły warmińskiej w staraniach o tytuły kanoników. Mogło to nie być potrzebne szlachcicom lub możnym mieszczanom, lecz sierotom po kupcu toruńskim bardzo się mogło przydać.

Kapituła twardo i solidnie przeciwstawiała się decyzji biskupa Waczenrodego w sprawie uczynienia Mikołaja kanonikiem. Kanonicy opierali się prawdopodobnie dla samej zasady przeciwstawiania się śmiało sobie poczynającemu biskupowi. Ten przeto chwycił się różnych sposobów, a wśród nich i tego: Przyjmijcie niższe święcenia.

Idąc przez las, wdychając z rozkoszą żywiczne powietrze, bracia rozmawiali o tych sprawach, była bowiem najlepsza ku temu okazja. Mikołaj część doby spędzał sam w bibliotece zamkowej lub na wieży, skąd w bezchmurne noce obserwował niebo.

Gdy jesienią Mikołaj usłyszał propozycję wuja, zawahał się wprawdzie: czy można tak sobie wiązać ręce na całe życie? Przekonał go dopiero argument, że niższe święcenia ani nie zamykają bram świata, ani do dalszych święceń nie zobowiązują. Andrzej zaś od razu, bez namysłu, poszedł w jego ślady. Stał się z nim jeszcze bardziej solidarny od chwili, gdy zrozumiał, jak trudno wuj musi walczyć z warmińskimi kanonikami o zabezpieczenie siostrzeńcom dożywocia w kapitule. Jeżeli są takie trudności z bratem — pomyślał — będą podobne i ze mną. I to ich zjednoczyło.

Szli teraz przez las ścieżką prowadzącą wzdłuż krętej rzeki Łyny. Wsłuchiwali się w pierwsze odgłosy wiosny, wchłaniali zapach boru. Była połowa marca, zima skończyła się wyjątkowo wcześniej i chociaż gdzieś leżały jeszcze ostatnie wysepki śniegu, słońce buchało nagłym wiosennym gorącem, zaś w lesie prześwitywało przez konary drzew wesołymi, ciepłymi promyczkami. Ptactwo hałasowało na dobre, a raz po raz przebiegały przed zachwyconymi młodzieńcami łanie lub zające. Szli leśnymi drózkami dla samej przyjemności, jaką daje człowiekowi zmęczonemu księgami kontakt z przyrodą.

— Przeczuwam, że już długo tu nie zabawimy — wszczął rozmowę Mikołaj — i jak tylko wiosna zwycięży zimę, wuj wyśle nas razem z Jerzym Prangem do Italii.

— Tak myślisz? — powiedział radośnie Andrzej. Obydwaj z utęsknieniem marzyli o tej chwili. — Pojechałbym dziś! A w dodatku statkiem. Czy uważasz to za możliwe, by wuj wysłał nas statkiem z Gdańska prosto do któregoś z portów italskich?

— Oczywiście. I myślę, że byłaby to podróż wygodniejsza od męczącego wleczenia się końmi przez całe tygodnie. Statki morskie bywają dobrze wyposażone, można na nich doskonale mieszkać. A żebyś wiedział, jak świetnie da się z morza obserwować niebo!

— Chyba tak. Ale prawdę mówiąc, wolałbym wieczorami po-

pijąc ze sternikiem dobre wino. Skąd jednak bierzesz, braciszku, te przypuszczenia o rychłej naszej podróży?

— Wiesz przecież, że przesiaduję po parę godzin dziennie w bibliotece. Zdarzy się, że wuj tam zajrzy w tym samym czasie. Przy takiej okazji w cztery oczy jest skłonny do zwierzeń. Opowiada mi niekiedy różne rzeczy, snuje swoje plany. Wierz mi, Andrzej, to człowiek nieprzeciętny, choć o trudnym charakterze, ale może właśnie musi być taki twardy, by podołać ogromnym zadaniom i obowiązkom?

— Możliwe.

I zaczął Mikołaj opowiadać, z czego zwierza mu się wuj Łukasz. Dumny jest przede wszystkim ze swych dobrych stosunków z królem Janem Olbrachtem i ze swej znacznej pozycji w ziemiach pruskich.

— Wuj Łukasz dba o utrzymanie niezależności Warmii, której jest nie tylko biskupem ale i władcą. Warmia zawsze była niezależna, lecz poprzednicy wuja trzymali bardziej stronę Zakonu, a wuj niezależność jej widzi raczej przy boku króla.

— Ha, trudne to do zrozumienia sprawy — oznajmił Andrzej szczerze. — Niby ta ziemia do Polski przynależy, lecz urzędników królewskich na niej nie znajdziesz, wszystko tylko ludzie biskupa.

— Ambicją wuja jest właśnie utrzymać ten stan rzeczy. Jest to jednakże niesłychanie trudne przy znanej ci zaborczości Krzyżaków. Ale wujowi to się jakoś udaje, przez co cieszy się wszędzie wielkim mirem. Na zjazdach stanów pruskich oddają mu przewodnictwo, zaczynają nawet nazywać go prezesem ziem pruskich.

— A z kapitułą rady sobie dać nie może.

— Nie jest tak źle, poradzi sobie z nią, choć to ciężka sprawa. Trudniejsza chyba właśnie z Zakonem walka, bo siłę Krzyżacy mają jeszcze ogromną, choć polskiego króla się boją. A wuja przeklinają straszliwie i obrzucają najgorszymi wyzwiskami



za to najbardziej, że z Kallimachem straszliwy plan przeciw nim uknuł.

— Jakież to plan?

— Pierwotnym zadaniem Krzyżaków było, jak wiesz, nawracanie pogan na wiarę chrystusową. Umyślił więc wuj, że tę służbę powinni i obecnie pełnić. W tym celu trzeba ich przenieść w inne strony, mianowicie na Podole i Mołdawię, gdzie mogą do woli walczyć z niewiernymi.

Andrzej zaśmiał się głośno:

— Rzeczywiście, plan chytry! Nic dziwnego, że Krzyżacy nazywają wuja diabłem wcielonym.

— A trzeba ci wiedzieć, że Kallimach do tego planu przekonał się, zaś jemu z kolei udało się przekonać króla. Mądry Italczyk był w Lidzbarku w tym czasie, gdyśmy bawili w Chełmie. Szkoda, że nie mogliśmy zobaczyć się z tym wielkim humanistą, który ma się za Polaka.

— A co będzie z tym planem? — dopominał się o szczegółową informację zaciekawiony Andrzej.

— Zobaczymy — odparł Mikołaj, jako że sam nie wiedział zbyt wiele. A raz wspomniawszy króla, zaczął powtarzać opowieść wuja Łukasza o kilkumiesięcznym pobycie Jana Olbrachta w Toruniu, o którym zresztą i Gertnerowie szeroko wspominali. Były to dla biskupa warmińskiego wielkie dni. Radni pruscy w dniu przybycia monarchy przeprawili się na drugi brzeg Wisły, by tam przyjąć dostojnego gościa. Na brzegu toruńskim został tylko Łukasz Waczenrode. Wysłannicy pruscy przywitali króla i jego brata Zygmunta. Przybywszy, Olbracht wraz z bratem zsiadli z koni i z odkrytymi głowami wyciągnęli ręce. Wojewoda malborski wygłosił przemówienie, podziękował za przybycie. Król, powiedziawszy także kilka słów, przeprawił się z radnymi statkiem na drugi brzeg Wisły. Tam dopiero przyjął go biskup warmiński z tłumem kleryków. Następnie spotkała monarchę rada toruńska, ławnicy, obywatele. Potem Jan Ol-

bracht pod jedwabnym baldachimem, niesionym przez radnych ziemskich i rajców toruńskich, wszedł do świątyni. Gdy tam nastał czas składania przysięg, pierwszy złożył ją Łukasz Waczenrode pod dyktando biskupa poznańskiego, zastrzegł sobie jednak nietykalność praw swego Kościoła. Wtedy król wyciągnął prawicę do Łukasza. Dopiero później przysięgli radni pruscy ziemscy, kanonicy warmińscy, trzech burmistrzowie toruńscy i jeden rajca, a po nich elblążanie i gdańszczanie — wszyscy pod dyktando biskupa warmińskiego.

— Pobyt króla w Prusach trwał kilka miesięcy — mówił dalej Mikołaj. — W tym czasie wuj Łukasz często rozmawiał z monarchą. Kosztowało go to, jak sam przyznaje, bardzo drogo, bo trzeba było gościć całą świtę. Ale biskupa Warmii stać na to, ma ogromne dochody. A pożytek z tych rozmów był bardzo wielki, bo one najbardziej umocniły pozycję Warmii i jej władcy w oczach Korony.

— Prawda to, jest wuj władcą wielkim, podległym tylko królowi, nawet spod zwierzchnictwa arcybiskupa ryskiego on się wydestaje. Ale cała ta świetność blednie, gdy kanonicy fromborscy uprą się. Sam wiesz po sobie. A ja dobrze się o tym przekonałem, gdy przez rok byłem biskupim sekretarzem.

Andrzej chęcił się zawsze tą swego czasu pełnią funkcją, teraz tamten lidzbarski pobyt wykorzystywał do chwalenia się znajomością stosunków panujących w kapitule i na zamku biskupim.

— Każdy kanonik ma duże dochody — objaśnił — i żadnej roboty. Będziemy kiedyś i my tak sobie żyli, trzeba tylko, żeby te stare wiechcie powymierały. Wtedy i wujowi lżej będzie, bo będziemy trzymali jego stronę, choć surowy on i porywczy. Kanonicy mają swoje domy, a jeszcze i folwarki w okolicy. Każdy ma obowiązek trzymać dwóch służących i trzy konie, żyje sobie po szlachecku. A oprócz Fromborka pod zarządem kapituły są jeszcze dwa wielkie komornictwa z Melzakiem i Olsztynem.

Stamtąd kapituła też ciągnie zyski, podobnie jak to czynią magnaci w swoich dobrach. Ale prawda, ty sam jesteś kanonikiem!

Mikołaj uśmiechnął się z odcieniem goryczy.

— Jestem kanonikiem, ale jeszcze nic nie wiem. Nie bój się, wuj poradzi sobie z uparciuchami.

— Najważniejsze, że pojedziemy za Alpy i tam będziemy się dalej kształcili, a kapituła zapłaci.

Roześmiał się głośno, zakończywszy tym optymistycznym akcentem, aż echo poniosło się w bór zwielokrotniając okrzyk przez dłuższą chwilę.

Zaczęli pohukiwać teraz, dla uciechy z powtarzającego się echa. Im bliżej południa — tym robiło się cieplej. Ale południe oznaczało także konieczność powrotu do Lidzbarka.

Zamek powitał ich ogromnym czworobokiem grubych, zimnych murów. Sługa zaprowadził ich zaraz do kancelarii Jerzego Prangego, który oznajmił Kopernikom, że jego przewielebność jeszcze przed obiadem oczekuje obu siostrzeńców w sali przyjęć. Ochędzożywszy więc w swej izbie odzienie stawili się posłusznie przed oblicze wuja.

Wskazał krzesła z wysokimi oparciami, potarł dłonią czoło, po czym niecierpliwym ruchem zabębnił w oparcie tronu:

— Wezwałem was, bo podjąłem ostateczną decyzję o losach waszych. Otóż wymusiłem na kapitule, by Mikołaja jako członka swego na studia prawa kanonicznego wysłała do Bolonii, tak jak to jest na Warmii we zwyczaju, że każdy kanonik do Italii udaje się, jeżeli jeszcze pełnego wykształcenia nie ma. Tak więc spór o jednego z was przybrał pomyślny obrót, choć nigdy nie wiadomo, co tam we Fromborku jeszcze wymyśla.

— A ja? — szepnął Andrzej niepewnie.

— O siebie się nie martw — uspokoił go wuj. — Jak tylko miejsce następne w kapitule uwolni się, uczynię i ciebie kanonikiem.

— Ale studia? — szepnął znów Andrzej.



Biskup śmiał się głośno, uderzając ręką o poręcz tronu. Był widać w dobrym humorze.

— Boisz się, że Mikołaj pojedzie, a ty mi znów w Lidzbarku sekretarzować będziesz? Nie bój się. Pojedziesz też do Bolonii. Stać mnie na to.

Andrzej westchnął z ulgą. Jego twarz pojaśniała.

— Ale słuchajcie teraz dobrze, bo wam szczegóły waszej podróży i jej okoliczności wyłożę. Otóż kapituła zgodziła się posłać do Rzymu mego sekretarza, kanonika Prangego, którego mianowałem prokuratorem warmińskim przy kurii papieskiej. Mądry to człek, bo nabył doświadczeń już w służbie mego poprzednika na tronie, Mikołaja Tungena. Pojedziecie więc z nim. Udacie się wprawdzie do Gdańska, a tam załadujecie się na okręt płynący do Italii. Na miejscu zaś, z pomocą Prangego, Chrapickiego i studiującego już tam kanonika Fabiana z Łęzan urządzicie się jak należy i rozpoczniecie naukę.

Wuj Łukasz wstał z tronu i długim krokiem przechadzał się po sali. Podnieśli się i młodzieńcy z krzeseł i czekali, jakie wuj wyda polecenia. Mikołaj markotnie opuścił oczy. Jeżeli za tydzień mają ruszyć z Lidzbarka do Gdańska, to znaczy, że do Torunia nie zdążą już pojechać. A myślał, że przed wyjazdem do tak dalekiego kraju pójdzie jeszcze na groby rodziców, odwiedzi siostry, kuzynki, ich dzieci. Naprawdę to jednak wcale nie był pewien, czy za Toruniem będzie tęsknił na obczyźnie, czy może raczej za Krakowem — za małą Anną, za grobem Marty, za dobrym słowem Macieja. Wydawała mu się w każdym razie ta podróż omal wyprawą na koniec świata.

Zauważył wuj jego zadumanie i powiedział z nagłą oschłością:

— A cóż to? Nie podoba się panom klerykom, że do stolicy świata pojedą na nauki?

Uśmiechnął się Mikołaj bezradnie, bo przecież właściwie cieszył się ze spodziewanego wyjazdu.

— Ależ jesteście wujowi ogromnie wdzięczni i z radością



oczekiwać będziemy podróży. Żal nam tylko wuja opuszczać, postawiając samego przy trudnych obowiązkach i ciężkiej walce z wrogami nie tylko obcymi, ale i tymi z otoczenia.

Wuj zbliżył się, położył dłoń na jego barku i oświadczył:

— Dziękuję ci za synowską wierność i za ludzkie słowa. I mnie żal będzie żegnać się, nie tylko dlatego, że was umiłowalem, ale i dlatego, że przypominacie mi moją świętej pamięci siostrę, a z nią i świętej pamięci rodziców moich. A o wrogach, Mikołaju, dobrze powiedziałaś, że są i obcy, i są wśród swoich. Ja jednak teraz nie boję się już ani jednych, ani drugich, mając Koronę Polską za sobą. No, ale chyba pora do obiadu siadać, wkrótce pewnie dzwonić będą. Pójdę więc jeszcze trochę spo-  
cząć. Korzystajcie, chłopcy, z ostatnich dni wolnego czasu.

---

## Powitanie Bolonii

Oto nareszcie mógł rzucić się na pościel w błogim przekonaniu, że jest w miejscu przypominającym prawdziwy dom. Nie w kołyszącej się morskim rytmem kajucie i nie w zajeździe, do którego wchodząc, myśli człowiek już o wyjściu, lecz w domu. Izba, wynajęta w parafialnym domu di San Salvatore, jest przestronna jak na dwóch scholarów.

Nareszcie po czterech miesiącach od chwili wyruszenia z Lidzbarka znaleźli się w sławnej Bolonii — mieście rzuconym między urodzajne wzgórza italskie na tło Apenin — w „*Bolonia docet*”, wślawionej akademią i uczonymi. I choć zaznali przez te cztery miesiące niemało trudów, choć doszli razem z Prangem do przekonania, że podróż łodem byłaby o wiele krótsza, szybsza i łatwiejsza do zniesienia — nie żalowali, że wybrali się morzem; zwiedzili szeroki świat, ujrzeli bezkres oceanu, przypominającego bezkres nieba, zaznali wiele przygód.

Zaczęły się one w Gdańsku, gdzie prawie miesiąc musieli czekać na okazję zabrania się do Italii. Odbywali nie kończące się wizyty, zwiedzali miasto i port. Byli w Gdańsku po raz pierwszy, i porównywali go z Toruniem i Krakowem. Budowle wydawały się tu większe i cięższe od krakowskich, nawet domy mieszczańskie były bogatsze, zasobniejsze, strojniejsze niż w stolicy. Życie miasta płynęło inaczej. Choć Kraków był równie ruchliwy, tu spotykało się więcej gości obcojęzycznych, dziwacznie niekiedy odzianych i jeszcze dziwaczniej się zachowujących. A już zupełną nowością były potężne urządzenia portowe: owe nabrzeże, spichrze, dźwigi kunsztowne.

W rozmowach i wędrówkach z Ferberami i Biszofami Kopernikowie zgadali się o jakimś dalekim powinowatym Wojciechu Longusie, który także wybierał się do Bolonii na studia. Gdy go poznali, okazał się świetnym kompanem i wypróbowanym przyjacielem. Oczywiście, idąc za przykładem toruńczyków, zdecydował się popłynąć do Italii statkiem razem z nimi.

Podróż statkiem stanowiła jedno nieskończone pasmo niespodzianek. Wiatry miały, choć okręt italskiego kupca z Genui był potężny, miał mnóstwo mocnych, wielkich żagli i ogromny ster. Poza tym temperatura powietrza na morzu wahała się poniżej przeciętnej dla łądu, a na dobitkę pasażerowie bez przerwy prawie byli biczowani albo tumanami mgły, albo lawiną fal rozbijających się na drobne kropelki. Niebo chmurzyło się przy tym stale i płonne okazały się nadzieje Mikołaja na czynienie obserwacji astronomicznych. Stracił w ogóle orientację i nie pomagał mu nawet umieszczony przy sterze kompas magnetyczny.

Sytuacja zmieniła się nieco, gdy minąwszy Rugię, Zelandię i Półwysep Jutlandzki, poprzez cieśninę Skagerrak wyszli na Morze Północne. Wiatry zelżały i stały się cieplejsze, niebo zaś rozchmurzało się częściej. Tu już Mikołaj znajdował godziny sposobne do obserwacji ziemi i nieba, po raz pierwszy korzystając w takich rozmiarach z usług magnetycznego kompasu i porównując jego informacje z informacjami — w dzień słońca, w nocy gwiazd.

Radykalna zmiana dokonała się jednak dopiero po przejściu cieśniny Gibraltaru. Morze Śródziemne powitało strudzonych żeglarzy wspaniałą pełnią lata. Upał panował w portach Hiszpanii, Prowansji, do których zawijali celem uzupełnienia zapasów żywności i wody pitnej, podróżowali bowiem przez cały czas wzdłuż wybrzeży. Upałem powitała ich także Genua.

Pobyli w niej trzy dni, w ciągu których Prange znalazł sobie statek idący dalej do Rzymu, a studenci pojazd konny do Bolonii. Podróż do tego miasta odbyli okrężną drogą, kierując się



wpierw na północ ku Nizinie Lombardzkiej, a dopiero potem podnóżem Apenin jadąc na południowy wschód. Poznali przez ten czas uroczy krajobraz dorzecza Padu. Pod południowym słońcem dojrzewały wspaniałe winnice i pszeniczne pola, przeplatane gajami fig i oliwek, a w rejonach bardziej podgórskich pasły się ogromne stada bydła. Nade wszystko jednak zdążyli w tej podróży poznać italski lud.

— Bene, signorina, bene!

Mikołaj otworzył oczy, ocknął się z zamyślenia, zerwał się z rozkosznej pościeli. To Andrzej wołał do kogoś za oknem, usiłując znaleźć wspólny język. Do kogo? — Oczywiście, do tej czarnej dziewczyny, która stała za ogrodzeniem domu di San Salvatore.

Młodzieńcy zdążyli już w drodze nasłuchać się, co czyhać będzie na nich w Bolonii. Słyszeli więc o nieustannych niemal festynach studenckich na łące pod bramą di San Nanola, o zalotach do córek bolońskich mieszczan, o ogniach sztucznych na Piazza di San Domenico, o śpiewach przez cały dzień i połowę nocy, o muzyce i winie, o pojedynkach i bijatykach, dysputach i o... studiach jako czymś, co było złem koniecznym, czym trzeba było także zająć się od czasu do czasu.

Następnego dnia zarządzający domem dał widocznie znać prokuratorowi Natio Germanorum o przybyciu z Prus paniczów z poważnymi referencjami, bo przed obiadem zjawił się nawet nie pedel, lecz osobiście sam prokurator nacji, starszy student, z księgą immatrykulacyjną. Młodzieńcy zdążyli dowiedzieć się już i o tym, że w Bolonii jest zbyt mało Polaków, by stworzyli własną nację, przeto przynależą do nacji germańskiej razem z Czechami, Litwinami, Duńczykami, Węgrami, Belgami, Szwedami i innymi. W statutach uniwersyteckich figurowało nacji italskich czyli citramontańskich aż siedemnaście i tylko osiemnaście ultramontańskich, czyli wywodzących się spoza Alp.

Prokurator nacji był norymberczykiem, więc łatwo z nim



doszli do porozumienia, gdyż norymberczyków i w Polsce, a szczególnie w Krakowie, było wielu, a ten, który ich witał na italskiej ziemi, miał nawet krewnych w Krakowie. Kończył już studia prawnicze, wyglądał na lat około czterdziestu, był tegi, miał pucułowatą twarz i wysokie łyse czoło. Zdążył już przedtem dowiedzieć się, że ma do czynienia z kanonikiem warminskim, toteż jego pierwsze słowa brzmiały:

— Witam przyjaciół moich przyjaciół! Ufam, że przez to i my przyjaciółmi łatwo zostaniemy! Ucieszą się fromborscy kanonicy Albert Biszof i Fabian z Łęzan, gdy dowiedzą się, że ich konfrater z kapituły nareszcie przyjechał.

Z Albertem i Fabianem Mikołaj chciał zobaczyć się jak najprędzej, przywiózł bowiem listy, oczekiwał też pomocy w ciągu pierwszych dni. Ucieszył się więc, że przez prokuratora łatwo znajdzie porozumienie. Powitał go zatem serdecznie, choć z należytym szacunkiem i przedstawił kuzyna: — A oto ziomek Biszofa, mój krewny, gdańszczanin Wojciech Longus.

Omówili następnie z prokuratorem nacji swoje naukowe plany, a ten wpisał obu do księgi immatrykulacyjnej, zainkasowawszy wpisowe. Co do Andrzeja oznajmił, iż ten będzie musiał osobiście przyjść do kancelarii.

Otrzymawszy następnie adresy Biszofa i Fabiana z Łęzan, Mikołaj pragnął co prędzej dowiedzieć się o uczonych prowadzących wykłady w Bolonii. Prokurator zdziwił się jednak, gdy wymieniając nazwiska profesorów uniwersytetu prawniczego widział niecierpliwosć młodego kanonika, który uparcie rozpytywał o bolońskich znawców nieba.

— Astrolog to u nas jest jeden przede wszystkim. Musi on, na żądanie każdego scholara, opracować prognostyk w ciągu jednego miesiąca. Pewnie ci o to chodzi, kolego?

Mikołaj skrzywił się. Nienawidził coraz bardziej tej zabawy w przepowiadanie przyszłości. Słyszał jeszcze w Krakowie o bolońskim astrologu Dominiku Marii Novarze i to nazwisko chciał

usłyszeć. Czyżby uczonego tu już nie było? Wymienił wreszcie nazwisko sam.

— Novara! — zawołał grubas. — Właśnie o nim mówię! Jest naszym urzędowym astrologiem i świetnie przepowiada!

Mikołaj skrzywił się jeszcze raz.

— Więc nie jest profesorem?

— Ależ jest — zapewnił go norymberczyk. — Wykłada astronomię w uniwersytecie artystów. Ale nie u nas. To inna uczelnia. A jest jeszcze w Bolonii szkoła teologiczna. Może i ona cię interesuje? Może chcesz studiować na trzech uczelniach?

Roześmiali się wszyscy. Wojciech Longus objaśnił:

— Mikołaj będzie studiował prawo, lecz bardziej interesuje się astronomią. Tutejsi astronomowie mogli nawet o nim słyszeć.

— Nie przeczę, nie przeczę. I służę informacjami. Wielce sławny jest profesor Alessandro Achillini. Astrologią interesuje się także teolog, poeta i lekarz w jednej osobie, a właściwie stary hellenista, Antonio Urceo.

— Uczy języka greckiego? — krzyknął radośnie Mikołaj, bo po różnych przykrych doświadczeniach z przekładami z greki na łacinę doszedł do wniosku, że będzie musiał nauczyć się tego drugiego języka starożytnych.

— Uczy, uczy — potwierdził prokurator. — Ale to dziwak, może nawet wariat, bo wierzy w greckich bogów, a naszemu Bogu bluźnić potrafi. Nadał sobie samemu imię Codrus. Ale jaki on tam biedak.

Teraz Mikołaj uśmiechnął się z czułością, słysząc słowa o Antonim Urceo czyli Codrusie. Jego dziwactwa a nawet bluźnierstwa wydały mu się sympatyczne. Toteż zapalał żądzą poznania Codrusa i zostania jego uczniem. O wiele mniej interesowali go owi profesorowie bawiący się horoskopami, jeżeli nie czynili równocześnie obserwacji nieba.

Zamyślił się tak głęboko, iż dopiero po dłuższym czasie spostrzegł ożywioną rozmowę Wojciecha z prokuratorem na temat

studiów prawniczych. Norymberczyk dopiero teraz był w swoim żywiole i szeroko opowiadał o życiu universitas. Gdy przyszło jednak do pożegnania, z większą atencją składał ukłon warmińskiemu kanonikowi niż synowi gdańskich kupców. Przypomniał także, gdzie i o jakiej porze dnia winien go szukać Andrzej.

Lecz starszy Kopernik zjawił się, jak na zawołanie, natychmiast po wyjściu prokuratora nacji. Informacjami Mikołaja bynajmniej się nie interesował, a na propozycję by pójść jeszcze tego dnia do pałacyku zajmowanego przez Fabiana z Łęzan i jego matkę, odpowiedział inną, tajemniczą propozycją.

— Bracie! Masz takie zaproszenie, że byłbyś bolońskim osłem, gdybyś z niego nie skorzystał. A ja byłbym drugim bolońskim osłem, gdybym cię nie prosił o zabranie mnie z sobą.

Mikołaj patrzył na brata z niejakim politowaniem.

— Masz iść po południu, bo wieczór ta signorina ma już zajęty — powiedział Andrzej.

— Zwariowałeś?! — wybuchnął Mikołaj. — Nie znam i nie chcę znać żadnej signoriny!

— Owszem, znasz.

— Mów, kogo masz na myśli.

— Powiem ci więc wreszcie. Pamiętasz z Torunia Annę, służebną z naszego domu?

— Nie! — krzyknął Mikołaj i zamknął oczy. Tak — pomyślał w duchu.

— Tak — powiedział Andrzej.

— Naprawdę?

— Klnę się na bolońskiego osła.

— Więc chodźmy.

— A widzisz, jak cię przyparło. I jej do ciebie tak samo pilno. Nie wiedziałem, że was coś łączy. Ale idź sam! Wypiłem i tak za dużo wina. Chodź, to cię do niej zaprowadzę.

Mikołaj szedł jak w gorączce. To wszystko układało się w logiczną całość. Anna po zdobyciu wykształcenia w Krakowie



mogła przyjechać tylko do Bolonii, znanej z udziału niewiast w życiu naukowym. Białogłowy odegrały wielką rolę w dziejach tutejszego uniwersytetu. W całej Europie słynęła szczególnie jedna — córka pewnego kanonisty, która prowadziła wykłady w zastępstwie ojca. Novella d'Andrea, stając za katedrę, musiała wieszać zasłonę, aby jej niezwykła uroda nie odciągała uwagi słuchaczy od treści wykładu.

Bracia zatrzymali się przed pałacem, stojącym o kilka uliczek dalej. Położony w ogrodzie, nieco wyżej od poziomu ulicy, przypominał swym kształtem architektonicznym greckie świątynie; był tylko znacznie mniejszy.

Andrzej machnął ręką i zaczął oddalać się. Mikołaj skierował się ku wejściu. W przedsionku natknął się na służebną. Powiedział tyle, ile potrafił: — Signora Anna...

Wtedy dziewczyna wskazała mu miejsce na ławie i pobiegła w głąb domu.

Anna przyszła po chwili: wspaniała; odziana w długą, barwną suknię ze złotymi wypustkami, z dużym dekoltem, puszyste, związane w pukiel włosy. Anna — nie Anna, ta sama i zarazem zupełnie inna. O wiele piękniejsza od tamtej w Toruniu, o rysach twarzy szlachetniejszych i ruchach ciała wdzięczniejszych, a jednak tamta — tak samo bystra i inteligentna, tak samo ponętna i zalotna. Skłoniła się lekko i powiedziała przepiękną, czystą łaciną:

— Witam cię, kanoniku. Wiele radości miałam w życiu, lecz nie oczekiwałam tak wielkiej, jak spotkanie z tobą.

Ukłoniwszy się nisko, Mikołaj wyrecytował:

— Największa jest moja radość z tego spotkania.

Wprowadziła go do obszernej komnaty, urządzonej na wzór rzymski z miejscami leżącymi. Służebna — inna niż przedtem — przyniosła wino i owoce. Rozmowa toczyła się sztucznie, było to zwykle żonglowanie słowami.

Wreszcie Mikołaj zaproponował:



— Chyba powiesz mi, Anno, drogę swego życia, poczynając od Torunia a kończąc na Bolonii.

Obdarzyła go wdzięcznym uśmiechem. Najwidoczniej czekała na takie pytanie.

— Chętnie ci to wszystko opowiem, nie żądam jednak ode mnie nazwisk. Zwierzę ci się ze wszystkiego, bez ogródek, nie tając niczego, co dotyczy mnie. Winna jednak jestem dyskrecją, jeżeli chodzi o inne osoby. Owocem mojej tajemnej nauki w Toruniu było dziecko. Dziecko tego, który mnie uczył. Urodziwszy je musiałam się go pozbyć i uciec. Porzuciłam córeczkę w kościele Mariackim, w tej nadziei że tam najłatwiej się nią ktoś zaopiekuje. A ja? Czułam się dostatecznie przygotowana do podjęcia studiów w Krakowie. Przebrałam się za mężczyznę i zaczęłam pracować na barce płynącej do stolicy. Miałam w ten sposób bezpłatną podróż i wyżywienie, jeszcze trochę zarobiłam. Wiesz, od samego początku świetnie potrafiłam udawać mężczyznę, zresztą tę umiejętność zachowałam do dziś. Gdy mi grozi jakieś niebezpieczeństwo, przebieram się i w stroju męskim odprawiam wrogów.

Spojrzała na niego z dumą, on opuścił wzrok. Powiedział:

— I co dalej w Krakowie?

— Dostałam się na uczelnię, zamieszkałam w bursie. To były najtrudniejsze chwile udawać mężczyznę przed wścibskimi współmieszkańcami, to była sztuka prawie ponad ludzkie siły. Na szczęście znalazłam rychło wykładowcę akademii, który przyjął mnie jako chłopca do posług. Po pewnym czasie postanowiłam wykorzystać go w sposób na pewno nie najuczciwszy, ale ręczę ci, uczciwością nie dopięłabym w życiu niczego, pozostałabym do dziś dnia głupią i ciemną służebnicą. Otóż zdradziłam przed nim swą prawdziwą płęć. To był stary człowiek, radował się tylko moimi kształtami, kochał mnie wielką i spokojną miłością, a ja go szanowałam i za tę miłość, i za dyskrecję, którą zachował do końca. A nadto nie brakowało mi niczego

do życia. Ukończyłam facultas artium. Mój opiekun, muszę dodać, płacił mi także miesięczne wynagrodzenie za służbę i przez okres studiów zebrała mi się niezła sumka, wystarczająca na wygodną podróż do Bolonii. Odbyłam ją jeszcze raz jako mężczyzna. Dopiero tu kupiłam sobie modny, kobiecy strój. I to wystarczyło. Ten pałacyk zbudował specjalnie dla mnie jeden z dworzan księcia Giovanniego, spokrewniony z panującym rodem Bentivogliów. Niestety, a może to i na moje szczęście, podczas podróży do Rzymu został skrycie zamordowany. Prowadzę teraz szeroko otwarty dom, schodzą się do mnie humaniści na rozmowy o sztuce, więdziemy je przy suto zastawionych stołach. Stać mnie na to, bo przyjaciele przynoszą mi raz po raz drobne upominki, wśród których zdarzają się i drogie klejnoty. Ot, i tak się żyje.

Mikołaj siedział zamyślony. Nie widział Anny, nie patrzył na nią. Rozmyślał nad celem i sensem ludzkiego życia. To, że „tak się żyje”, oznaczało tylko sposób, nie oznaczało jednak ni celu, ni sensu.

— I po co tak się żyje? — spytał.

Nie zrozumiała w pierwszym momencie istoty tego pytania. Zreflektowała się dopiero po chwili, powiódłszy wzrokiem po jego obliczu.

— Ty pytasz, po co? A po co ja miałam żyć jako służebna dziewczka? Miałam ku chwale bożej obsługiwać Koperników? A niby dlaczego nie mam być ja obsługiwana przez italskie dziewczki na taką samą chwałę bożą? Takich pytań nie stawiają, bo nie odpowiedział na nie jeszcze żaden z filozofów.

Mikołaj podniósł się i złożył jej ukłon. Decyzje dojrzały w nim nagle, tak jakby się to działo bez udziału jego woli.

Patrzyła nań niespokojnie, lecz panowała nad sobą i z godnością oddawała mu ukłon. Widać było, z jakim wysiłkiem przywoływała uśmiech na twarz, na której malowała się równocześnie walka o własny honor.

— Mam nadzieję, że będziesz wierny naszej starej przyjaźni. Mikołaju — wyszeptała wreszcie drżącymi ustami.

— Zawsze jestem wierny — oświadczył twardo. — Zależy tylko, jak się rozumie wierność.

Odprowadzała go do wyjścia z niespokojnym, pytającym spojrzeniem.

Wiedział, że są w Italii białogłowy utrzymujące szeroko otwarte domy, w których humaniści prowadzą dysputy.

Nie żałował, iż poznał zaraz na początku taki dom. Wiedział teraz, że to nie dla niego. Fabian z Łęzan i Albert Biszof studiują tu już sześć lat i nie osiągnęli jeszcze niczego. Nie, on nie pójdzie ich śladami, szkoda życia.

Zaszedł do domu di San Salvatore, zabrał przywiezione z Warmii listy, wstąpił jeszcze po Wojciecha Longusa i razem ruszyli do miasta, by znaleźć wpierw pałacyk zamieszkały przez Fabiana z Łęzan z matką, a potem mieszkanie Biszofa.

— Nie, nie ma tamtej Anny z Torunia — powtarzał sobie w myśli. — Ta w Bolonii jest kimś zupełnie innym.

---

## Italska noc

Egzystencja profesora Dominika Marii Novary opierała się co prawda na ludzkiej naiwności, lecz ciężko musiał horoskopami pracować na kawałek chleba. Mimo to odnosił się do astrologii z szacunkiem. Potrafił ją zręcznie łączyć z obserwacjami i obliczeniami, zaś seria trafnych przepowiedni dawała pewną swobodę działania i szacunek ludzi nie tylko do jego prac astrologicznych, lecz i do innej działalności. Mimo więc piastowanej godności „niepospolitego astrologa” był niepospolitym uczonym. Zdobył sobie rozgłos między innymi postawieniem śmiałej teorii zmian szerokości geograficznych.

Dominik Maria zajmował niewielkie izdebki przy kaplicy Świętego Józefa, położonej naprzeciwko Galerii.

Był już początek wiosny, a dokładnie 9 marca 1497 roku, gdy Mikołaj przeniósł się do mieszkania profesora. Już przedtem, począwszy mniej więcej od środka zimy, Kopernik spędzał więcej czasu przy kaplicy niż w domu parafii di San Salvatore, a w dodatku ubiegłego tygodnia pozostał sam w wynajętej izbie. Andrzej od początku prowadził tajemniczy tryb życia, studiów prawdopodobnie wcale nie rozpoczął argumentując, że zdąży to uczynić, gdy zostanie kanonikiem. W domu bywał coraz rzadziej, aż wreszcie wyniósł się na dobre. W tej sytuacji Mikołaj mógł bez wyrzutów sumienia zrealizować swe dawne marzenie o przeprowadzce do profesora.

Rozłożywszy rzeczy we wskazanym kącie izdebki zaczął naglić Novarę, by przed wieczorem rozpocząć ostateczne przygotowania do obserwacji.



— Zmęczony już jestem życiem, człowieku Północy. My tu pod słońcem Południa nie wytrzymujemy tylu trudów, co wy. Zresztą pomyśl, ja żyję już czterdzieści dwa lata, a okazuje się, że ty lepiej ode mnie znasz tajemnice nieba, choć niedawno skończyłeś dopiero dwadzieścia cztery lata.

— Cóż mówisz, Dominiku! Ileż nauczyłem się dopiero przy tobie! W ciągu ostatnich kilkunastu tygodni zyskałem tyle, co przez cały czas pobytu w Krakowie od Wojciecha z Brudzewa.

— Wojciech z Brudzewa — powtórzył głucho Dominik i przysiadłszy na ławie zamyślił się. — Wielki uczony polski. Więc mówisz, że umarł. Wielka to szkoda dla twego kraju i dla nauki na całym świecie.

— Niestety — westchnął Mikołaj z żalem. — Trudno w to uwierzyć, ale przywiózł tę wiadomość przedwczoraj prosto z Krakowa ktoś taki, komu można wierzyć. Uczony zmarł w dodatku na dalekiej Litwie, w mieście Wilnie, jako królewski doradca. Przedwcześnie oderwano go od nauki i przedwcześnie zszedł z tego świata.

Po chwili milczenia Dominik wstał z ławy i powiedział z nagłą werwą: — Nic już na to nie poradzisz. Ale my, humaniści, powinniśmy sławić życie.

Zaczęli krzątać się wokół planowanej wieczorem obserwacji. Dostrzegalnie miał Novara urządzoną na wieżyczce kaplicy Świętego Józefa. Widok stamtąd doskonały, a niebo italskie błyszczało czyste, tak czyste, jak nigdy nie bywało ani we Włocławku ani w Krakowie.

Mikołaj krzątał się chętnie, był zadowolony ze swego pobytu w Bolonii. Uczęszczał pilnie na wykłady prawa, wygłaszane przez Antoniego Burgosa i innych profesorów. Ale brał także udział w licznych wykładach na uniwersytecie artystów, najchętniej zaś w zajęciach z języka greckiego prowadzonych przez Codrusa. Zależało mu na tym, by móc czytać w oryginale teksty greckie. Codrus wykładał entuzjastycznie i zapalał studentów

do wszystkiego, co dotyczyło starożytnej Grecji. Wołał: „Jeżeli będziecie słuchać i uczyć się Homera, nauczycie się wszystkich sztuk, wszystkich nauk, wszystkich umiejętności”. Ponieważ brakowało gramatyk, Codrus uczył od razu na lekturze dzieł klasycznych. Czytał z katedry także traktaty medyczne i matematyczne, które Mikołaja najbardziej interesowały: „Aforyzmy” Hipokratesa, „Chirurgię” Heliodora, dzieła Euklidesa, Archimidesa i innych autorów.

Gdy się ściemniło, do domu Novary przyszedł jego przyjaciel, profesor Alessandro Achillini. Był to starszy, wysoki i szczupły mężczyzna o żywej twarzy i młodzieńczych ruchach. Lubił dużo mówić, znany był ze swych zdolności dialektycznych i ostrych polemik. Wydał przed trzema laty traktat „De orbibus”. Kpił tak samo jak Brudzewski ze wszystkich wymyślonych przez astronomię kół mimośrodowych, epicykli, ekwansów i innych sztuczek matematycznych. Twierdził, że zarówno Księżyc jak i Słońce obracają się każde według własnej osi, ale nie potrafił tego udowodnić. Mikołaj chętnie chodził także na jego wykłady, podobały mu się śmiałe przypuszczenia Achilliniego.

Wszedłszy profesor wszczął od razu żywą rozmowę, rzucając wesołe pytanie:

— No i cóż będzie z tym naszym biednym Księżycem? Chcecie go zniszczyć?

— Chcemy zniszczyć raczej Ptolemeusza — odparł Mikołaj. Novara podszedł do gościa z otwartą księgą.

— Co ty tu niesiesz?

— „Epitomat z Amalgestu” Regiomontana. Proszę cię, przeczytaj ten fragment.

Achillini czytał posłusznie:

— „Lecz dziwne, zaiste, że Księżyc, znajdując się w kwadraturze, w punkcie przyziemnym epicykla, nie wydaje się tak wielki, gdy tymczasem, jeżeliby świecił całą tarczą, powinien zdawać się czterokrotnie większy niż w opozycji, w punkcie

przyziemnym epicykla”. Słusznie — powiedział, przeczytawszy te słowa.

— No, mówię wam — mówił nerwowo Novara — że absurdem jest teoria, głosząca jakoby odległość Księżyca od Ziemi była dwa razy mniejsza w kwadrach niż w nowiach lub pełniach.

— Nie należy ufać mylącym zmysłom — wpadł mu w słowa Mikołaj. — Ufajmy tylko matematyce.

— Słusznie! — zawołał Achillini. — Chciałem powiedzieć: także słusznie, a może jeszcze słuszniej niż u wielkiego Regiomontana.

Novara kręcił głową z dezaprobatą. Wziął właśnie przybory do rysowania i pisania. — No, chodźmy na górę — ponaglił przyjaciół.

Poszli za nim. Mieli dziś wyznaczyć paralaksę czyli zmianę położenia Księżyca w kwadraturze, by w sposób ostateczny dowieść błąd Ptolemeusza. Mikołaj ustalił już współrzędne geograficzne Bolonii. Należało jeszcze ustawić przyrządy. Księżyc znajdował się właśnie w pierwszej kwadrze i miał zakryć błyszczącą, o czerwonej barwie gwiazdę Hiad, przez Arabów określaną jako Aldebaran, a pospolicie nazywaną Okiem Byka. Z określenia momentu zjawiska można było wyznaczyć paralaksę Księżyca. Posługując się rachunkiem trygonometrycznym Mikołaj przewidział dokładny czas zakrycia Oka Byka, lecz wydawało się już teraz, że moment ten nastąpi nieco później.

Na rozjaśnionym zorzą wieczorną niebie bolońskim uwydatniły się kontury wież kościelnych. W pobliżu San Domenico leżał klasztor dominikanów, jakby pogrążony w głębokim śnie, a dalej wychylały się z ciemnego tła ukośne wieże San Bartolomeo. Południowy horyzont zamykała panorama Apenin. W mdłym blasku księżycowym majaczyły ich szczyty, pod którymi bieliła się kręta wstążka drogi, wiodącej na górę Guardia.

Mikołaj oglądał to wszystko w poczuciu całkowitej samotności, zapomniawszy zupełnie o profesorach. Właściwie Dominik



Maria Novara był jedynym jego przyjacielem, reszta to tylko znajomi. Z bratem Andrzejem stracili zupełnie wspólny język. Wojciech Longus prowadził zwykły, studencki żywot między salą wykładową a wesołą bolońską ulicą, a z nauk interesowało go wyłącznie prawo.

W dni, gdy Dominik dłużej przebywał poza domem, Mikołaj odczuwał swą samotność w sposób dokuczliwy. Nie śmiał jednak iść wtedy do ludzi, których zazwyczaj mijał obojętnie. Nie uległ też nigdy pokusie pójścia do Anny, wiedząc, że popadłby w jej niewolę, że mógłby wówczas kontynuować co najwyżej wykształcenie jurystyczne, zerwać z matematyką, astronomią, greką...

Cała uwaga skupiała się w tej chwili wokół Księżyca. Uczeni patrzyli weń wytrwale. Wyglądało tak, jakby Księżyc srebrnymi wargami chylił się ku Aldebaranowi, by go pożreć. Już, już, a niewidzialna kraweźdź ciemnej półkuli Księżyca dotknie czerwonej gwiazdy. Mikołaj naprędce wykonał jeszcze dodatkowe pomiary wysokości gwiazd. Dobiegała piąta godzina nocy. I wtedy Oko Byka nagle zgasło. Gwiazda dotknęła krańca ciemnej części księżycowej kuli i w następnej chwili znikła między rogami Księżyca.

Wszyscy trzej równocześnie zabrali się do obliczeń. Skończyli mniej więcej w tym samym czasie. Zbyt tęgimi byli matematykami, by wątpić w to, że otrzymali jednakowe wyniki. Okazało się, że paralaksa Księżyca w kwadrze nie różniła się niczym od paralaksy w czasie pełni.

— Gratuluję wam — powiedział Achillini, marszcząc dziwnie czoło. — Teoria Księżyca, stworzona przez Ptolemeusza, leży w gruzach.

— Czy tylko teoria Księżyca? — szepnął Mikołaj. Coś go ścisnęło za gardło, gdy to mówił. — Czy nie wali się cała ptolemejska machina mundi? — dopowiedział Mikołaj drżącymi wargami.

Achillini uśmiechnął się.

— Może chcesz, młodzieńcze, swoją małą, choć kanciastą główką uderzyć w Słońce?

Dominik bezradnie rozłożył ręce.

— To straszne — rzekł z zaschniętym gardłem. — Czego my teraz możemy się trzymać, jeżeli wszystko się wali? Ale cała nadzieja w tym, że ty, Mikołaju, dalej walczyć w gruzach starej astronomii, będziesz budował nową. Nie spodziewaj się jednak ode mnie pomocy. Ja muszę życie trawić na astrologii. Pomyśl, każdy scholar ma prawo żądać, bym mu w ciągu miesiąca opracował horoskop. Ale ty, mieszkając u mnie, masz dostęp do mego księgozbioru i do instrumentów, które gromadziłem przez całe życie. W razie potrzeby zawsze ci będę służył według swych sił.

Na wschodzie słońce różowym rąbkiem zaczęło wydostawać się zza horyzontu. Powoli wdzierało się dzienne światło.

— Saluto, synu Polonii! — rzucił Achillini i zaczął schodzić na dół krętymi, wąskimi schodkami.

Mikołaj pobierał papiery i przybory piśmienne i ruszył za Novarą. Gdy zszedł na dół, Achilliniego już nie było. Widzieli go tylko przez okno, jak kroczył zamasyżcie w kierunku śródmieścia. Gdy siedli na ławie za stołem — zmęczeni całonocną pracą — pojawił się famulus Novary proponując śniadanie. Mówił po włosku pięknym, śpiewnym akcentem. Gdy zgodzili się, powiedział:

— Być może na śniadaniu będzie jeszcze ktoś trzeci. Przyszedł tu jakiś Polonus wieczorem, gdy panowie profesorowie byli już w dostrzegalni. Dopytywał się o pana Copernicusa. Nie dopuściłem go już do panów. Wtedy oświadczył, że poczeka do rana w ogrodzie. Noce są jeszcze bardzo chłodne, dzisiejszej był nawet lekki przymrozek, położyłem go więc na posłaniu pana profesora Copernicusa. Wstał już i oczekuje na przyjęcie.

Gdy sługa otworzył drzwi, ukazała się w nich wysoka, wy-

chudzona postać ubogo odzianego mężczyzny. Na podłużnej twarzy jawił się niepewny uśmiech. Poruszyły się wreszcie grube wargi i w ciszy izby zawisł szept — Mikołaju...

Patrzyli sobie prosto w oczy. Obcy dopowiedział jeszcze — Włocławek... Abstemius...

— Stach! — krzyknął Mikołaj, podbiegł do gościa i rzucił mu się na szyję.

Novara patrzył z boku na radość przyjaciół, którzy zeszli się po latach. Famulus bez dalszych pytań nakrył do stołu dla trzech osób. Siedli pełni wesela do śniadania. Ze względu na Dominika mówili po łacinie, a Stach władał nią biegle.

— Będę nareszcie miał kogoś prócz Dominika. Jak to dobrze! A ty, biedaku, całą noc czekałeś na mnie zaledwie kilka metrów stąd.

— Sługa serdecznie mnie przyjął, nawet nakarmił i pomyśl, zrozumieliśmy się świetnie, choć nie znam italskiego języka. Biedacy zawsze i wszędzie się rozumieją.

— Gdybyś jednak przyszedł wcześniej, byłbyś świadkiem wspaniałej obserwacji. Masz pojęcie, czego dokonaliśmy? W szczęśliwej chwili trafiłeś, a może to ty przyniosłeś szczęście? Otóż obaliliśmy ptolemejską teorię Księżyca. Wali się cały jego system.

— Wiedziałem, że ty dokonasz czegoś wielkiego i ważnego — powiedział Stach.

Dominik spojrział na niego. Pokiwał głową. Mówił:

— Słusznie twój przyjaciel przypisuje to tobie, Mikołaju. Moja zasługa tylko w zachęcie i udostępnieniu dostrzegalni. Wiedz, że już prześcignąłeś mnie, marnego astrologa urzędowego. Wyprzedzać mnie teraz będziesz z każdym dniem. Będę się czuł twoim pomocnikiem.

— Dominiku! — zawołał Mikołaj z oburzeniem. — Co ty pleciesz! Dałeś się zasugerować słowom nic nie wiedzącego Stacha. Nie wiadomo, skąd bierze się odkrycie. Nowa prawda czeka na



ciebie czasem blisko, jak oto ten gość, w odległości kilku metrów.

— I śpi w twoim łóżku — zaśmiał się Dominik.

— Naprawdę! — roześmiał się Mikołaj szeroko. — Wiesz, Stachu, przeprowadziłem się wczoraj do Dominika, ale nie zdążyłem jeszcze spać na swym posłaniu, ty uczyniłeś to przede mną.

Śmiali się wszyscy trzej. Potem na prośbę Mikołaja Stach opowiedział swoje dzieje od momentu wyjazdu Kopernika z Włocławka.

— Zostałem nadal u kanonika Wodki. Ukończyłem szkołę katedralną jeszcze przed śmiercią naszego dobrodzieja, którego w ciężkiej chorobie pielęgnowałem. Zapisał mi za to w testamencie tyle, że mogłem jesienią następnego roku rozpocząć w Krakowie studia. Gdy jednak tam przybyłem, ty wyjechałeś właśnie, prawdopodobnie kilka dni wcześniej. Męczyłem się sam i marzyłem o tym, by pojechać za tobą do Italii, gdy tylko dowiedziałem się, że w niej przebywasz. I pomyśl, udało mi się w ciągu trzech semestrów uzyskać dyplom bakałarza. Nie czekając już na magisterium nająłem się jako sługa u pewnego szlachcica spod Krakowa, który wybierał się właśnie na pielgrzymkę do Rzymu. Pożegnałem go wczoraj i w Natio Germanorum znalazłem twój adres. Gdy jednak zaszedłem do domu di San Salvatore, powiedziano mi, że akurat przeprowadziłeś się do kaplicy Świętego Józefa. No i w ten sposób znaleźliśmy się razem.

Śniadanie minęło w radosnym nastroju. Gdy przyjaciele zaczęli zastanawiać się nad tym, gdzie by znaleźć locum dla Stacha, Dominik odezwał się:

— Mam nadzieję, że mi tu nie sprowadzicie całej Polonii do mych pomieszczeń.

— Czy mamy to rozumieć... — zaczął Mikołaj i urwał, nie mając odwagi wypowiedzieć swej myśli do końca.

Dominik machnął ręką i wychodząc z izby rzucił od niechcienia:

— Możecie rozumieć, jak chcecie. Czyż mogę opierać się tobie, czyż mogę opierać się w ogóle Polonusom, wśród których są takie łby jak twój? Zasłoniłeś mnie sobą, jak Księżyc Aldebarana.

---

## Ziemia i niebo

Rok Jubileuszowy 1500 rozpoczął się pod najlepszymi gwiazdami. Ostatnie półrocze w Bolonii było dla Mikołaja jednym wielkim pasmem radości, życie mu się pomyślnie ułożyło, poczynił ogromne postępy w badaniach astronomicznych.

Stali oto trzech serdeczni przyjaciele nad wielkim stołem, na którym prócz przyborów kreślarskich leżał wielki arkusz, gdzie w lewym górnym rogu widniał krótki a treściwy napis „Polonia”. Stali oto nad tym arkuszem trzech serdeczni przyjaciele: Mikołaj Kopernik, Stach z Włocławka i Bernard Wapowski.

Ten ostatni późną jesienią przybył do Bolonii na uniwersytet jurystów. Pierwsze kroki powiodły go, tak jak i Stacha, do izby Mikołaja. Bernard był dobrze wyposażony i przyjechał z zamiarem wynajęcia należycie urządzonej komnaty. Ponieważ ciasnota przy kaplicy Świętego Józefa dawno już sprzykrzyła się zarówno obydwu studentom jak i gospodarzowi — zapadła rychło decyzja wynajęcia gdzieś całego domku a także zatrudnienia sługi i służebnej. W ten sposób w małym, uroczym domku na przedmieściu, położonym jednak niedaleko kaplicy Świętego Józefa, zamieszkały cztery osoby. Zofia dochodziła bowiem do służby u paniczów z domu swej matki-wdowy, zajmującej się handlem warzywami. Jedyne starszy wiekiem Jan urządził sobie locum na górcie. Panicze zaś mieli trzy obszerne komnaty, z których jedna służyła im jako wspólna sypialnia, druga jako pracownia, trzecia zaś jako jadalnia i zarazem pomieszczenie reprezentacyjne.



Nachylali się teraz nad stołem. Na wielkim arkuszu coraz wyrazistszy stawał się zarys mapy Polski. Bernard kreślił właśnie jakieś łuki za pomocą cyrkla, stawiając jego nóżkę to tu, to tam.

Po przyjeździe Wapowskiego na czoło przyjacielskich dyskusji obok problemów astronomicznych wybiły się także kwestie geograficzne. Zajmował się nimi Biernat, jak go wówczas nazywano, już w Krakowie, nie kłóciły się one z astronomicznymi zainteresowaniami Mikołaja — wprost przeciwnie, jedne z drugimi harmonizowały i uzupełniały się. Teraz wszyscy trzej razem ze Stachem pasjonowali się wspólnym zadaniem.

Pierwszym człowiekiem, któremu Mikołaj przedstawił w Bolonii Bernarda, był Beneventano. On to nosił się z zamiarem wznowienia „Geografii” Ptolemeusza w nowym łacińskim wydaniu, które pragnął uzupełnić dokładnymi mapami. W Wapowskim znalazł chętnego i dobrze przygotowanego współpracownika, który zobowiązał się zebrać materiały potrzebne do wykreślenia mapy Polski. Nie było to dziwne, że do pracy włączyli się także dwaj przyjaciele. Stach był najmniej zorientowany w kartografii, więc zgłaszał stale jakieś wątpliwości, które Bernard i Mikołaj cenili sobie, wychodząc z założenia, że świeże spojrzenie laika może być przydatne. I oto teraz Stach mówił, wyraźnie kpiąc z nich obu:

— Mnie się wydaje, że Mikołaj wkrótce naniesie na mapę ów Kaszczorek pod Toruniem, który wspomina wciąż jeszcze jako raj swego dzieciństwa. Czekam także, aż zamiast punktu zwanego Lidzbarkiem pojawi się cały plan miasta, razem z tą uliczką opodal rynku, gdzie kuglarze występowali, i brama, którą nasz przyjaciel wychodził na spacer do lasu. A jeżeli tak, to radziłbym dać tu szczegółowy plan miasta stołecznego Krakowa z ukazaniem ulic Kanoniczej i Grodzkiej.

Mikołaj odgadywał jego myśli. Wziął do ręki kartkę z notatkami, na której poprzednio zapisał: *Varmiensis Ecclesia*, Pome-

ranensis Ecclesia, Culmensis Ecclesia i tak dalej. Żadna z dzielnic Polski nie była tak szczegółowo opisana, jak Prusy.

— Och, z tym jeszcze pół biedy! — zawołał Stach, śledząc ruchy i wzrok Mikołaja. — Te pruskie diecezje to jeszcze nic strasznego. Ale ciekaw jestem, jak to będzie, gdy podróżnicy z całej Europy, bawiąc w Krakowie, będą dopytywali o drogę do owych sławnych Wapowic i Radochonic, a zajechawszy tam, dowiedzą się, że to takie same wioski, jakich w Polsce tysiące.

Bernard zarumienił się. Rzeczywiście, zaczął nanosić na mapę swe rodowe wioski. Ale znalazł nieoczekiwaną ripostę. Staął w zaczepnej postawie, ujął się pod bok i powiedział do Stacha:

— Mój kochany, może jest i jakaś racja w tym, co prawisz. Ale czyś ty widział kiedy jakieś dzieło, które nie nosiłoby na sobie piętna jego twórcy, cech jego indywidualności? I ty chcesz mienić się humanistą, niewydarzony miłośniku Erato? A jeżeli piszesz wiersze miłosne dla swojej Zofii, to czyją duszę tam w nich widać: moją? Mikołaja? I może duszę i oczy Rosaliny z naprzeciwka? A przecież marzysz o tym, by świat cały czytał te twoje serdeczne westchnienia, czyż nie tak? Podobnie, powiadam ci, jest ze wszystkim, także z geografją.

Tymczasem do izby weszła piękna Zofia — italska służebna — dziewczyna, którą Stach adorował od pierwszej chwili. Mikołaj miał o tej porze kontynuować pracę nad jej portretem.

Przyjaciele przerwali robotę przy mapie. Stach objął dziewczynę ramieniem i wiodąc ją do Kopernika mówił:

— Oto oddaję ci, Mikołaju, tę boską dziewczynę, byś uwieczniwszy jej piękno, oddał mi ją w całości, niczego z niej nie uszczknąwszy. Ja zasię, by czas na to zużyty zrefundować, wykonam potrzebne ci obliczenia odległości gwiazd stałych od punktu równonocy wiosennej.

Bernard i Mikołaj odetchnęli z ulgą, zmęczeni się już zbyt długo trwającym monotonnym zajęciem. Kopernik chętnie poszedł do sztalug, chwycił za farby i pędzle.

Praca nad portretem dziewczyny była już dość daleko posunięta, choć rozpoczął ją dopiero przed kilku dniami, po dłuższej przerwie w malowaniu. Wrócił co prawda do sztalug przed rokiem, zapoznawszy się z artystyczną chlubą Bolonii, Francją, czyli z Franciszkiem Raibolinim, uczniem Andrzeja Mantegny i przyjacielem młodziutkiego Rafaela Santiego, któremu także wróżono wielką przyszłość. Francia był przez długi czas złotnikiem, rytownikiem i giserem, zawiadowcą mennicy książęcej w Bolonii, a dopiero w sile wieku zaczął próbować pędzla. Jako żywo przypominał Mikołajowi Macieja Szylinga. Toteż Kopernik z zainteresowaniem zwiedzał bolońską mennicę i przypatrywał się biciu monet. Przede wszystkim jednak pod kierunkiem Raiboliniego powrócił znów do świata barw, linii i płaszczyzn.

— O czym pan rozmyśla? — spytała cichym głosem Zofia. — Czasem mi się wydaje, że niepotrzebnie tu stoję, że maluje mnie pan z pamięci, a duchem jest w ogóle gdzie indziej.

— Może i tak.

— Gdzie?

Lubił rozmowy z Zofią, lubił w ogóle tę dziewczynę.

— Gdzie? — podchwycił. — A domyśl się, gdzie.

— W Polsce — rzekła.

Popatrzył na nią z wdzięcznością.

— Oczywiście, zgadłaś. Człowiek żyjący na obczyźnie często powraca myślami do swych rodzinnych stron. Widzisz, miałem tam w Krakowie przyjaciela, który nauczył mnie malować. Raibolini przypomina mi go bardzo. Obydwaj są rytownikami, obydwaj biją monety, obydwaj malują. Raibolini pokierował tu mną po dłuższej przerwie w malowaniu. A ty przypominasz mi... — zawahał się.

— Kochał pan tam kogoś? — spytała cicho.

Zapanowała chwila milczenia.

— Miłość jest szaleństwem, odrywa od pracy i nauki — powiedział Kopernik.



— Nie ma pan racji, panie Mikołaju. Miłość wszystkiemu pomaga.

Machnął niecierpliwie ręką. Pochwycił z powrotem przybory.

— To winien pan przyjąć wyższe święcenia kapłańskie. Jest pan przecież kanonikiem.

Zamyślił się. W kapitule warmińskiej zadomowił się na dobre. Dwa i pół roku temu spisał tu, w Bolonii, u notariusza Girolama Belvisiego akt upoważniający dwóch konfratrów do objęcia w jego imieniu kanonii po świętej pamięci poprzedniku swym Janie Zanau. Przed rokiem zaś optował przez pełnomocników swój pierwszy folwark kanoniczny po Michale Foksie. Przed dwoma laty również Andrzej został kanonikiem warmińskim. Zaczęli wrastać w tamtą północną krainę, ludzi z Północy witali jak swoich, i choć rodzinny Toruń był już typowym miastem północnym, nie tak znów odległym od wybrzeży Bałtyku, z którymi łączyła go Wisła, jednak Frombork był w porównaniu z innymi miejscami samym końcem świata. Gdy Jerzy Prange przejeżdżał przez Bolonię w podróży z Rzymu do Lidzbarka, albo wracał z Warmii z poleceniami od wuja Łukasza, witali go serdecznie nie tylko dlatego, że przywoził pieniądze. Gdy przeciągały przez Bolonię idące z Prus pielgrzymki do Rzymu, z radością witali znajomych z Gdańska, Torunia czy miast warmińskich. Dzięki tym właśnie kontaktom mógł Mikołaj widzieć Reinholda Feldstedta, który niedługo potem został jego szwagrem, ożeniwszy się z kuzynką Kordulą, córką ciotki Krystyny.

Powiada Zofia: przyjąć wyższe święcenia kapłańskie. Prawda, byłoby to zgodne z układaniem sobie życia wokół interesów warmińskiego biskupstwa, wokół spraw fromborskiej kapituły. Mikołaj nie czuł powołania do służby bożej.

— Święcenia, powiadasz — odezwał się patrząc na Zofię. — A czy ci się wydaje, że ja nadaję się do stanu duchownego?

— Chyba tak — szepnęła z widocznym zawstydyzeniem. —

Przecie nie interesuje się pan białogłowami.

Mikołaj z dezaprobatą potrząsał głową.

— Twoja wrodzona przenikliwość i inteligencja zawodzą jednak niekiedy, Zofio. Oświadczam ci, że nie nadaję się do stanu duchownego. A kanonikiem będę na tej samej zasadzie, na jakiej polski królewicz został arcybiskupem, a Italczyk o nazwisku Borgia — papieżem. Oni obaj są duchownymi w takim samym stopniu jak ja. Pocieszam się, że to wcale nie takie złe. Może lepiej, gdy z dóbr kościelnych czerpie taki mecenas sztuk pięknych jak Aleksander VI, czy taki choćby głodny nauk młodzieniec jak ja, niż miałyby je przeżerać i przepijać jakiś zapatrzony we własny pepek pasibrzuch. Tych ostatnich jest jeszcze i tak dosyć.

Rzucił pędzel, miał już tego dnia dosyć malowania a i rozmyślaniem był już zmęczony i odczuwał potrzebę odprężenia. Został Stacha z Zofią w domu, Bernarda wyciągnął do ogrodu. Gdy odetchnęli trochę świeżym powietrzem, zaproponował mu:

— A może by tak do Świętego Józefa?

Dominik Maria Novara był w domu. Poczęstował gości pomarańczami i winem.

— Opracowałeś już wyniki obserwacji złączenia Księżyca z Saturnem? — zapytał gospodarz.

— Nie jeszcze, wybacz, mój drogi. Czy nie sądzisz, że lepiej będzie wyciągać wnioski z obydwu złączeń, z tego styczniowego i z tego, które nastąpi czwartego marca? Celem wyznaczenia dokładnego momentu złączenia marcowego chcę zmierzyć wysokość pierwszej gwiazdy z Alfa Arietis.

— No dobrze — przyznał Dominik. — Chociaż muszę ci powiedzieć, że od pewnego czasu jestem trochę niespokojny. Martwią mnie stałe zamieszki panujące w tym kraju. Stałe boje się, że jakieś żołdackie chamstwo nie pozwoli mi czegoś dokończyć.

— Och, nie przywołuj tych spraw. Może to bardzo źle, lecz

przyznam się, że nie myślę o nich, nie chcę myśleć. Na pewien czas wstrząsnęła mną tragedia owego mnicha we Florencji, Fra Girolamo Savonaroli. Ten straszny dominikanin, słusznie oburzając się na upadek Kościoła, niesłusznie pociągał ludzi w upiorne mroki minionych stuleci. Ale też jego sędziowie, słusznie odtrąciwszy go od władzy, niesłusznie poddali go torturom, powiesili, zwłoki spalili na stosie i prochy wrzucili w wody Arno. Był to dla mnie okres rozpaczny, po którym na kilka miesięcy rzuciłem się w wir zapomnienia. — Mikołaj zamyślił się na chwilę, lecz zaraz nabrał tchu i zaczął mówić dalej: — Odurzył mnie beztroski świat, znajdowałem rozkosz w siadywaniu przy winie w austeriach i w swobodnych rozmowach z gronem humanistów. Niewiele brakowało, bym zaczął chodzić do tancerek! Potem dzięki Francji oddałem się kontemplacji sztuki i sam od nowa zacząłem malować. Nowa sztuka jest upojna, porywa mnie bardziej niż wino i dziewczyna. Ale o ile szczęście mogą mi dać italscy humaniści, o tyle nie mogę myśleć o brudnej, trucielskiej polityce italskiej. Księcia Bolonii, Giovanniego Santiego, z rodu Bentivogliów widziałem raz i więcej nie chcę go widzieć, podobnie jak nie chcę słyszeć o tym potwornym skłóceniu, w jakim żyje ten kraj.

— Ależ to niesłuszna postawa — odezwał się Bernard, który już od dłuższej chwili z niecierpliwością czekał, żeby przerwać Mikołajowi monolog.

Kopernik zamilkł na chwilę, rozchmurzył się, rozłożył ręce i ciągnął dalej:

— Ja wiem. Ale powiedz mi, czy sami władcy Italii postępują słusznie? Czy postępują słusznie książątka i kardynałowie, którzy się nawzajem wyniszczają? Czy postępują słusznie mieszczanie, którzy w obliczu nieprawości i mordów bawią się wesoło nie troszcząc się wcale o przyszłość swego kraju, w którym się urodzili, żyją, będą żyli i zemrą?

— Na pewno nie — westchnął Bernard.



Novara kiwał tylko głową. Mikołaj mówił dalej:

— Mamże więc ja wyrećzać ich w tej trosce?

— Rzym jest stolicą świata. Co się dzieje tu, obchodzi nas wszystkich.

— Tak! — zawołał Mikołaj. — Nas wszystkich obchodzi cały świat, właśnie cały świat, bardziej niż jego stolica. Ale temu światu każdy z nas służy tak, jak potrafi. Czyż my nie pełnimy należnej nam służby?

— Zapewne tak.

— Czyż mogę uczynić coś dla wyparcia nachodzących ten kraj wojsk francuskich? Jeżeli na dobitkę władcy Italii sami nie wiedzą, czego chcą? Piotr Medyceusz poddał Karolowi VIII fortece, Savonarola otworzył przed nim bramy Florencji. W Rzymie Karol kazał kardynałowi otworzyć bramy miasta, a papież Aleksander VI wydał w jego ręce Don Cezara. Karol paradował konno, w purpurowym płaszczu, ze złotym jabłkiem w rękę, po ulicach Neapolu. Co my możemy, studenci z Północnego Kraju? Z pewnością, gdyby Krzyżacy zaczęli deptać rodzinny mój Toruń lub Warmię, potrafiłbym ująć może i miecz nie przyzwyczajoną doń ręką, lub ruszyć do boju na czele oddziałów.

— Nie życzę ci tego — powiedział Dominik, kręcąc głową.

— My, uczeni, mamy ustalać prawa rządzące światem. Do kierowania nim, przy pomocy tych praw, powołani są inni. Gdy przekraczamy swe kompetencje, tamci biorą nas w swe łapy. Savonarola uczynił to. Wiecie, kto go wydał? Nie potrzebował czekać nawet na władców. Własny lud go wydał. Jeszcze parę lat przedtem papież ofiarowywał Savonaroli stanowisko arcybiskupa Florencji, a nawet godność kardynała.

— Widocznie wszystko musi dziać się w czasach, w których przełamują się epoki. Obok rzeczy wielkich — małe. Papież Aleksander kocha życie, dzieła sztuki i książki. Ten wiecznie śmiejący się starzec lubi ponoć nade wszystko przyglądać się

tancerkom. — Mikołaj mówił to z ciepłym uśmiechem na twarzy. — Przemienie on ze swymi tancerkami, lecz pozostaną wielkie budowle, rzeźby i obrazy, które każe tworzyć. Władcy Bolonii mają jakieś tam porachunki, już nawet dobrze nie wiem, kto z kim. Ale w tym mieście są wspaniałe uniwersytety. Zginie Bentivoglio razem ze swymi wrogami i przyjaciółmi, ze wszystkimi swymi makiawelskimi sprawkami, lecz pozostanie po nim wspaniały gmach nauki, z którego będzie korzystał cały świat. Myślę, że nawet my, Bernardzie, przeżyjemy księcia Bentivoglio, a Polska będzie korzystała z naszej pracy.

---

## Smak sławy

Andrzej bezlitośnie targał brata za rękę, drugą dłonią klepiąc go po czole. Mikołaj otworzył oczy i z niechęcią spojrział na niego. Musiał mieszkać razem z nim, nie było innego wyjścia w Rzymie, który liczył teraz kilkaset tysięcy mieszkańców.

— Czego tak wytrzeszczasz oczy? Prosiłeś, bym cię zbudził, czy nie?

— Dziękuję — westchnął Mikołaj.

Dzień był już wysoki, słońce wdzierало się do izby przez zasłony. Andrzej wyszedł. Należało wstać, by zdążyć do Sapienzy z wykładem, którego oczekiwało kilkudziesięciu uczonych i studentów. W Wiecznym Mieście nie było już na szczęście tak ludno, jak wiosną i latem. Listopad przyniósł wczesne i stosunkowo silne jak na Italię chłody, nie sprzyjające pielgrzymkom. W dodatku Tybr wylał, cała niższa część miasta zamieniła się w jezioro, do kościoła Świętego Pawła jeżdżono łodziami.

Mikołaj przeciągnął się na łożu i patrzył zupełnie już przytomnie w sufit. Wykład jego trafił akurat na dzień przypadający bezpośrednio po zaćmieniu Księżyca. Prowadzona przez długą część nocy obserwacja dała mu wiele do myślenia, jeszcze więcej spodziewał się po zakryciu Saturna przez Księżyc. Te dwie obserwacje miały być ważnym uzupełnieniem pomiarów gwiazd stałych, a zwłaszcza Kłosu Panny. Niestety, na wnioski było jeszcze trochę za wcześnie. Jeżeli pobyt w Rzymie da się przedłużyć do roku 1501 — a było to bardzo prawdopodobne ze względu na praktyki prawnicze w kurii watykańskiej, jakie razem z Andrzejem prowadzili — wystąpi na wiosnę z drugą



serią wykładów. Ogłosi wtedy pełniejszą teorię budowy wszechświata.

Wykłady dawały mu wiele satysfakcji. Gdyby nie przepełniona sala, nie uwierzyłyby nigdy, że jego sława zawędrowała z Bolonii aż do Rzymu. Co prawda przetaił jej drogę kochany Dominik, co prawda w zorganizowaniu wykładów pomógł kardynał Sodarini, którego opiece biskup Łukasz polecił swych siostrzeńców w związku z odbywaną w kurii praktyką.

Nie było tak późno, skoro nie przyszedł jeszcze Bernard Skultet, także nowo mianowany kanonik warmiński. Bernard stał się Mikołajowi pociechą po wyjeździe do Bolonii Bernarda Wapowskiego i Stacha. Był człowiekiem uroczym, pełnym entuzjazmu do nauki, a zarazem aprobaty dla samodzielnej, twórczej myśli naukowej Mikołaja. Miał przyjsć późniejszym rankiem, by tak jak to czynili dotychczas — na spacerze po ruinach starożytnego Rzymu — wysłuchiwać tematu, przed wygłoszeniem go w sali Sapienzy.

Bernard Skultet wpadł w radosnym nastroju.

— Pogoda straszliwa — zawołał — ale na szczęście nie pada. Nie miałeś w nocy kłopotów z obserwacją?

— Nie. Raz po raz przesłaniały Księżyc cumulusy, lecz tylko na krótko. To dopiero nad ranem niebo zaciągnęło się na dobre. Co słyhać?

— Co nowego? Pewnie zwykła porcja umarłaków po nocy. Bestialstwo tego kraju nie zna granic. Gdybyż ustało chociaż w Świętym Roku. Gdzież tam! Pielgrzymkom z całego świata nie żaluje się niczego, ani morderstw, ani widoku rozpusty, ani niecných gierek politycznych.

— Przestań. I wyjdźmy już.

Dzień był rzeczywiście paskudny, nie italską, lecz raczej polską przypominający pogodę. Szli nowoczesnymi ulicami, przy których stanęły pyszne pałace, zamieszkałe przez najmożniejszych. Ale między świeżymi jeszcze tu i ówdzie budowlami

roziągały się przestrzenie starożytnych ruin. Na porosłej trawą ziemi spotykało się pokryte mchami posągi, najczęściej porozbijane. Gdzie indziej pomiędzy chwastami leżały bryły marmuru.

Kopernik wygłaszał swój próbny wykład z pasją, lecz ze względu na przechodniów bez gestykulacji. Już i tak ludzie gapili się na dwóch mężczyzn, z których jeden bez przerwy patetycznie gadał, a drugi w milczeniu słuchał. Raz po raz tylko mówca gubił wątek — wtedy mianowicie, gdy popadał w zamyślenie. Wciąż jeszcze tęsknił za Stachem i za Bernardem Wapowskim, którzy zwiedziwszy Rzym i wzięwszy udział w najważniejszych uroczystościach jubileuszowych, wrócili do Bolonii. Słabą pociechą były listy, które przyjaciele wymieniali między sobą, korzystając z pośrednictwa polskich pielgrzymów. Kopernikom zlecono w Watykanie opiekę nad Polakami przybywającymi do Rzymu. Bernard Skultet otrzymał podobne poruczenie bezpośrednio od Waczenrodego, działającego w porozumieniu z kancelarią prymasa, Stach zaś w Bolonii pomagał w akcji z własnej chęci.

Ale oto kończy się spacer, dwaj przyjaciele weszli do przedsiionka papieskiego uniwersytetu, Sapienzy. Zastali czekających już na wykład. Stawili się przede wszystkim Polacy: Piotr Tomicki i Stanisław Borek, kilku krakowskich docentów. Wyśłannik Waczenrodego, Prange, przychodził zawsze jako pierwszy, zaliczał to pewnie do swych obowiązków, teraz także już był. W dyskutujących grupach dostrzegł Mikołaj i Italczyków, z Łukaszem Gauricem na czele. Przybyli też akurat obecni w Rzymie Gaspar Torella z Walencji i Prowansalczyk Bonetus de Latis.

Na schodach spostrzegł profesora matematyki w Sapienzie, Lorenzo Miniatę. Kierował się prosto w stronę Mikołajaja. Mówił już z daleka swym potężnym, donośnym i tubalnym brzmiącym głosem:

— Dzień dobry, mistrzu! Jesteś już! Proszę wszystkich do sali! — zwrócił się do gości. — Rozmawiałem dziś z naszym rektorem — ciągnął profesor — na temat jeszcze jednego cyklu twoich wykładów w następnym semestrze. Powitał tę myśl z entuzjazmem, mówiąc, że twoja sława jako astronoma ma już obecnie zasięg światowy. Nie ma drugiego tak odważnego burzyciela systemu ptolemejskiego, jak ty. Prześcignąłeś w tej sławie i Wojciecha z Brudzewa i Dominika Novarę. Nawet takie gwiazdy jak Peurbach czy Regiomontanus także zaczynają błędnać przy tobie. Wracajmy jednak do naszych planów. Czy będziesz u nas jeszcze na wiosnę?

— Dziękuję za uznanie i za niezasłużone pochwały. Mam nadzieję, że pobyt mój w Rzymie przeciągnie się.

Mikołaj marzył od pewnego czasu o karierze uczonego. Zaczęło się to od owej nocy, gdy w Bolonii dokonywali z Novarą obserwacji Aldebarana. Od owej chwili był pewien, że znajdzie w ciągu życia dostateczną liczbę dowodów na istnienie systemu heliocentrycznego. W takim razie winien oddać się pracy naukowej i niejednokrotnie myślał o tym, by w przyszłości, zamiast wracać do Fromborka, osiąść w Italii, albo co najmniej w Krakowie. Wykłady w Sapienzy stanowiły dla młodych adeptów nauki coś w rodzaju pasowania na uczonego.

Okazało się, że sala była już w połowie zapełniona, a nowi słuchacze napływali bez przerwy.

Mikołaja opanovał niespodziewany spokój. Niemal flegmatycznie rozkładał przed sobą notatki, na których spisał najważniejsze tezy i trochę cytatów z dzieł klasyków. Sala natychmiast zamilkła. Mikołaj postanowił zacząć zupełnie inaczej niż podczas próby przed Bernardem.

— Komu mamy ufać? — powiedział rozkładając ręce i przybierając bezradny wyraz twarzy. — Czy tym dziesiątkom, co ja mówię, setkom ludzi, którzy latając dziurawy system ptolemejski, walczą przeciw o to, by sami czuli się bogami



zamieszkującymi kulę, stanowiącą środek świata? Czy raczej tym, co próbują nas przekonać do zupełnie odmiennej struktury wszechświata — takiej, w której Ziemia jest co najwyżej partnerem w grze z innymi ciałami? obrońcy systemu ptolemejskiego operują argumentami pozornie naukowymi — pozornie, mówię, bo jakież to argumenty, jeżeli już następnego dnia trzeba z nich rezygnować, by ważność tej biednej Ziemi ratować innymi? Teoria tak podbudowana nie przedstawia wartości większej od innych, które każdy może sobie dowolnie konstruować. W tej sytuacji prawo żądania posłuchu może mieć zarówno ten, co Ziemię stawia pośrodku, jak i ten, co każe wszystkiemu krążyć wokół Księżyca, Marsa czy Saturna, a nawet Aldebarana. Przyznajmy: może być wobec tego tyle różnych prawd, iż równie słuszny może być wniosek o tym, że nie ma żadnej.

Ten ad absurdum doprowadzony sceptycyzm przyjął Kopernik jako punkt wyjścia do podsumowania całego cyklu wykładów. Było to dla słuchaczy niezwykle efektowne i takie właśnie wrażenie odczytywał mówca z ich twarzy.

Kopernik przypominał i ustawiał w szeregu udowodnione w poprzednich wykładach tezy. W tym ogromie argumentów system ptolemejski walił się w gruzy jak pod uderzeniem tarana wspomaganego burzą z piorunami. Audytorium — bo to nie byli już słuchacze lecz jednym rytmem oddychający organizm ludzki — kuliło się w sobie, jak w obliczu grożącego kataklizmu.

W chwili najwyższego napięcia Kopernik zawiesił głos na chwilę. Widział i słyszał, jak wszyscy wstrzymali oddech.

— Cóż więc przeciwstawię tej pustce i niewiedzy? Czym zastąpię to, co rozleciało się w gruzy? Czy można w ogóle powiedzieć jeszcze o wszechświecie coś, co nie będzie wyglądało na szalbierstwo? Czy astronom-matematyk może dziś nie wyglądać jak jarmarczny kuglarz?

Znowu zawiesił głos i nieoczekiwanie powiedział:

— Tak, można budować nowy system. I trzeba.

I z piersi słuchaczy wyrwało się westchnienie ulgi.

— Tak — powtórzył Mikołaj Kopernik. — Można i trzeba budować nowy system, lecz dziś jeszcze nie można dać mu wystarczającej podbudowy matematycznej. Dlatego nie wolno śpieszyć się, nie wolno jednej góry domysłów zastępować drugą. Trzeba prowadzić obserwacje i czynić obliczenia. Ale i warto wytyczyć cel, by móc zmierzać do niego najbliższymi drogami.

Sformułował hipotezy bardzo ostrożnie. Ograniczył się do wyrażenia przekonania, że niektóre planety mogą krążyć dookoła Ziemi, że co najmniej Księżyc jest taką. Ale trzeba też przyjąć, że są planety krążące dookoła Słońca, a do nich zaliczył tymczasem Merkurego i Wenus. Jak mają się do siebie Ziemia i Słońce — tego nie chciał jeszcze przesądzać, ale oświadczył, że skłania się raczej ku heliocentryzmowi. Uzasadnił każde z tych przypuszczeń. Ale słabo bronione tezy, ich niezdecydowanie, a także połowiczność tego wszystkiego, co twierdził, wywołały u audytorium uczucie niedosytu.

Gdy ujął swe notatki, powiedziawszy ostatnie słowo, wszyscy siedzieli milcząco, ale gdy zszedł z podium, by skierować się ku drzwiom wyjściowym — nastąpił ów wybuch, do którego nie doszło przedtem. Sala zagrzmiała potężnymi oklaskami, twarze rozgorzały entuzjazmem.

Najbliżsi otoczyli Mikołaja, przepychając się do jego dłoni. Inni stanęli dalszym kręgiem. Nikt nie opuszczał sali. To trwało przez kilka minut. Mikołaj podawał bez przerwy prawicę.

Potem ludzka rzesza automatycznie, jakby powodowana zbiorową siłą, zaczęła wreszcie wypływać do przedsiönka. W miarę oddalania się od gmachu Sapienzy rzedła powoli grupa osób idących wspólnie z Mikołajem. Wreszcie pozostali tylko Bernard Skultet, Piotr Tomicki, Stanisław Borek, Łukasz Gaurico i Lorenzo Bonincontri. Mikołaj zastanawiał się właśnie, czy nie należałoby przyjąć poczęstunkiem, gdy niespodziewanie Gaurico rzucił propozycję:

— Mam nadzieję, że chcemy wszyscy uczcić wielki sukces naszego przemiłego Polaka. Zapraszam na dzban wina. Oczekuję mnie właśnie moja przyjaciółka, która tym razem będzie na pewno rada, gdy zamiast jednego mężczyzny ujrzy sześciu.

Wszystko sprawdziło się co do joty. W pięknym pałacyku powitała ich niejaka Karolina o regularnych, klasycznych rysach twarzy i ponętnych proporcjach ciała. Wkrótce znalazło się wino, znalazły się owoce. Wkrótce też przyjaciele zostali rozdzieleni przez czarnowłose miłośnice, które bez żadnych wstępów obejmowały swych partnerów ramionami.

Lecz światowe uciechy nie odrywały bynajmniej przyjaciół od uczonej rozmowy. Bonincontri, wybraniając się od natrętnej egzaltacji swej towarzyszki, głosił pochwałę Kopernika:

— Przeczuję rewolucję w astronomii. Było wiele głosów zwiastujących ją, ale to co słyszeliśmy od naszego wnikliwego i bystrego przyjaciela, jest już nie zapowiedzią, lecz pierwszym etapem spełnienia. Trudno powiedzieć, czy Mikołaj, czy ktoś inny doprowadzi do budowy pełnego systemu, który zastąpi ptolemejski przeżytek, może to stanie się dopiero wtedy, gdy ani jednego z nas nie będzie już na świecie? Ale system ten zostanie zbudowany na tych fundamentach, które stawiano dziś w naszych oczach. Wierzę, że nie kto inny, jak nasz przyjaciel, doprowadzi oczekiwaną przez nas konstrukcję do końca.

Nikt z obecnych w to nie wątpił — wszyscy łącznie z dziewczynkami wyrażali to samo przekonanie. Ale oświadczenia, padające w sali dyszącej frywolnością i ziemskimi uciechami, czyniły na Koperniku nieco karykaturalne wrażenie.



---

## Dom przy ulicy Grodzkiej

Umówili się z Andrzejem, że zabawią w Krakowie co najwyżej trzy dni. Mikołaja ciągnęło do przyjaciół i znajomych, do starych miejsc. Ale brat niecierpliwił się i żądał, by jak najprędzej zakończyć podróż dłuższym popasem w Toruniu. Znaczyło to, że powinni wsiadać niezwłocznie na pierwszą lepszą barkę idącą na północ — w dół Wisły. A takie odchodziły codziennie, więc praktycznie pobyt w stolicy skończyć by się mógł na kilku godzinach potrzebnych dla umówienia się z którymś przewoźnikiem, przeniesienia tobołków podróжных i zjedzenia obiadu w mieście. Te trzy dni Mikołaj wyłudził więc po prostu od Andrzeja. Rozstali się na ulicy Grodzkiej przed domem Macieja Szylinga. Mikołaj wysiadł z pojazdu z podręcznym tobołkiem, resztę dobytku miał Andrzej złożyć w gospodzie, w której zamierzał stanąć.

— Zatem w poniedziałek rano przychodź — powiedział na pożegnanie. — Wynajęcie barki i załadowanie tobołów biorę na siebie.

Mikołaj spojrział na znajomą fasadę domu, na jego skromną ornamentykę, na okrągłe zwieńczenie szczytu, przede wszystkim jednak na okna, za którymi mieszkali przyjaciele najserdeczniejsi na świecie. Zrozumiał to teraz od nowa. Zrozumiał ogromną przyjaźń, łączącą go z Maciejem i jego córką.

W drzwiach przyjęła go zupełnie obca kobieta — brzydka starucha. Dowiedział się od niej, że dobrodzieja nie ma, a do jego córki nie wolno „byle kogo” dopuszczać. Kopernik zachnął się na to, lecz rychło się zreflektował.

— Jestem Mikołaj Kopernik — powiedział.

Wtedy w twarzy staruchy coś się odmieniło. Zmarszczki na jej czole poczęły falować, broda poruszała się rytmicznie. Wpatrywała się w gościa uporczywie przez jakiś czas, wreszcie rzekła skrzekliwym głosem:

— Pan Kopernik? Naprawdę, podobny do tego na obrazach. Jeżeli tak, to insza rzecz. Tak, poznaje, pan Kopernik — powtórzyła, wpatrując się w niego. — Z podróży pan?

— Prosto z podróży, z Italii — wyjaśnił gorliwie, uradowany takim obrotem rzeczy.

Szedł za nią pod górę ciasnymi, ciemnymi schodami. Gdy stanęli na piętrze, zobaczył w otwartych drzwiach komnaty dziewczynę w długiej niebieskiej sukni. W bladych, rozchylających się do uśmiechu policzkach utworzyły się małe dołeczki. Oczy błyszczały. W pewnym momencie dziewczynka wybuchnęła radością, w następnej sekundzie policzki pokryły się rumieńcem.

— Wuj Mikołaj! — zawołała i zakryła twarz dłońmi.

Odstawił podróżną torbę, odsunął staruchę, uczynił kilka kroków dzielących go od dziecka i objął ramionami. Czubkiem głowy sięgała jego brody.

Anna — ochłonawszy z pierwszego wrażenia — z ogromnym przejęciem i z matczyną wprost troskliwością krzątała się, by gość mógł przebrać się, umyć i rozpakować, a wreszcie sięść do podanego naprędce posiłku. Dopiero wtedy rozwiązały się im języki.

Siedzieli w pracowni Macieja, tak jak sobie tego Mikołaj życzył — w pracowni, w której przez kilka lat absolutnie nic się nie zmieniło. Gabloty z monetami i medalami, narzędzia medalierskie, przybory do pisania, rysowania i malowania, nawet sztalugi, których swego czasu sam używał — wszystko stało na dawnym miejscu. Na ścianach — prócz innych obrazów — jego autoportret, portrety Marty, malutkiej Anny i Macieja. Przeska-

kiwał wzrokiem ze ścian pokoju na ukochaną twarzyczkę dziecka i z powrotem. Był w świetnym humorze. Smakowała mu wyborna, zimna pieczeń z sarny, zagryzana wspaniałym chlebem krakowskim. Nawet nieco gorsze niż w Italii wino wydawało mu się w tej chwili wyśmienite.

Anna zbyła go kilku krótkimi informacjami o ojcu i Krakowie, by zaraz żądać opowiadań o Italii, o Rzymie. Mówił więc wytrwale, a gdy ustawał — pobudzała nowymi pytaniami. W pewnym momencie spostrzegł, że dziewczyna świetnie rozumie po łacinie, a zaraz potem przekonał się, że dobrze mówi w tym języku. Zapytał zdziwiony: — Może i czytasz?

— I czytam, i piszę — odpowiedziała tonem tak naturalnym, jak gdyby oznajmiała coś najzwyczajszego w świecie.

— Uczy cię ojciec?

— Tak. A przywiozłeś jakieś książki?

— Książki? — powtórzył i odparł: — Nie mogę ich nawet rozpakować. Zresztą to nie książki dla ciebie.

— Nie dla mnie! — zachnęła się. — Traktujesz mnie jak pierwszą lepszą gąskę.

— Te książki nie interesowałyby nawet twego ojca! Prawie sama matematyka.

— A może mnie interesują? — powiedziała jakby przez łzy. — Ale prawda — ożywiła się nagle. — Zapomniałabym ci powiedzieć, że twoja sława przysła z Rzymu aż do Krakowa. Powiadali tacy, co byli na jubileuszowej pielgrzymce, że wykłady miałeś tam uczone, że już nie studiujesz, tylko innych pouczasz, a nawet profesorowie cię słuchają. A ponoć magistrzy niektórzy na naszej akademii mówią na wykładach o tobie, jak o uczonym jakimś. I cytują twe słowa. Jeżeli tak się znasz na gwiazdach, to postaw mi horoskop.

Mikołaja coraz większe ogarniało skrepowanie, lecz po ostatnim zdaniu wybuchnął śmiechem. Zrozumiał jednak, że mógł ją tym urazić, przybrał więc poważny wyraz twarzy:



— Wybacz, moja droga, przepraszam cię, lecz nie twoje słowa mnie rozśmieszyły, jeno przypomnienie powszechnej niemal wiary w astrologię, której ty oczywiście nie możesz nie ulegać. Muszę ci się przyznać, że nie wierzę w te wszystkie horoskopy. Byłbym rad, gdybyś i ty nie wierzyła w nie.

— Jak to? — zdziwiła się. — Więc znasz się na gwiazdach, a nie wierzysz w to, co z nich odczytujesz?

Po raz pierwszy w życiu stanął przed zadaniem tak prostym, a ponad jego siły, wytłumaczenia dziecku różnicy między wiedzą matematyczną o gwiazdach a wróżbiarstwem. Silił się na możliwie najprostsze słowa, ale czuł, że i tak jej nie przekonał.

— No dobrze, dobrze — przerwała mu wreszcie. — Niech będzie po twojemu. I tak nigdy nie dowiem się, skąd bierze się twoja sława.

Mikołaj zaproponował wówczas spacer po mieście. Poprosił, by pokazała mu wszystko nowe.

Pierwsze dni maja były ciepłe i słoneczne. Miasto tętniło radością, scholarowie wypełniali gwarem ulice, dziewczki z chichotem wyglądały z okien i bram. W samym środku miasta, w okolicy rynku, nie zmieniło się prawie nic. Ale idąc ulicą Floriańską, dowiedział się od Anny o jakimś rondlu, zbudowanym ponoć przed dwoma laty.

Rzeczywiście, tuż za Bramą Floriańską stała masywna okrągła budowla obronna z czerwonej cegły, pełna okienek strzelniczych, wieńczona górą siedmioma wieżyczkami. Ależ tak, to był barbakan — podobny do tego, jaki zbudowano w jego rodzinnym mieście. Budowla krakowska jednak — mimo że o tym samym przeznaczeniu — bardzo różniła się od toruńskiej wielkością i kształtem. Toruński rondel był mniejszy i bardziej w kształtach swych surowy.

Natychmiast postanowił wejść do wnętrza i w szczegółach obejrzeć posępne mury. Niestety, przy bramie wiodącej do wne-

trza barbakanu bronili wstępu tego uzbrojeni zaciężni. Mikołaj zdołał tylko dowiedzieć się od jednego z nich, że mury mają dziesięć stóp grubości i nie rozbije ich żadna armata, a okienek strzelniczych jest w rondlu ponad dwie kopy.

Z podziwem oglądał wspaniałe dzieło wojskowych architektów. To Jan Olbracht kazał wzmacniać mury obronne stolicy, zdając sobie sprawę z czyhających na jego kraj niebezpieczeństw. Po bezskutecznym oblężeniu Suczawy musiał wycofać się z Mołdawii i poniósł wielkie straty w ludziach i dobytku, a Turcy najechali Podole i Ruś Czerwoną aż po Lwów. Mikołaj interesował się tym, bo niepowodzenie Olbrachta było niepowodzeniem wuja Łukasza, planującego osiedlenie w Mołdawii Krzyżaków. Teraz znowu zanosilo się ponoć na wojnę z nimi i wuj Łukasz miał na pewno z tego powodu wiele zmartwień.

— Chcesz tu nocować?

Słowa Anny wyrwały go z zamyślenia. Mała ciągnęła go za rękę, śmiejąc się głośno. Postanowił poświęcić spacer w całości oglądaniu fortyfikacji stolicy. Poszli wzdłuż murów. Patrzył z wielkim zainteresowaniem na nowe baszty i strzelnice. Nigdy dotychczas nie zajmował się nimi, teraz przypominały mu niespokojną Warmię, wystawioną na krzyżackie zakusy.

Gdy już wracali do rynku, z daleka zobaczyli idącego w stronę domu Macieja. Twarz Szylinga postarzała się, wychudła, poryta została zmarszczkami, a opadające spod kapelusza włosy siwiały wyraźnie. Tylko w jego oczach pozostał dawny blask.

— Skąd przybywasz? — pytał już z odległości kilku kroków.

— Z Italii — zdążył odpowiedzieć Mikołaj.

— Zasiedziałeś się w tych ciepłych krajach okrutnie — mówił Maciej, gdy już zblizali się do ulicy Grodzkiej. — Ptaki wracają stamtąd każdego roku.

— Poprawię się — przyrzekł bezwiednie, bo już zbierał się w sobie, by wyjaśnić przyczyny długiego pobytu. Dopiero jed-

nak po chwili dopowiedział: — Lecz musisz przyprawić mi skrzydła.

— Rozumiem — przerwał mu Maciej. — Rok Jubileuszowy. A może i jakaś serdeczna sprawa?

— Nie ma nawet o czym mówić — powiedział Mikołaj. — Nie miałem w Italii nikogo, gdzie indziej też nie. Jedyłą moją serdeczną sprawą jesteście wy.

W domu zastali nakryty do obiadu stół. Dopiero teraz było dosyć czasu na opowiadanie o Italii i życiu w niej, o Rzymie i Roku Jubileuszowym, o studiach, obserwowaniu gwiazd i przyjaciółach astronomach, wykładach w Sapienzy, o których ponoć w Krakowie szeroko rozprawiano w kołach naukowych.

— I co zamierzasz czynić dalej? — spytał w pewnej chwili Maciej.

— Tymczasem popłyniemy z Andrzejem do Torunia, tam pobędziemy jakiś czas przy rodzinie, złożymy hołd prochom ojca i matki. No i trzeba będzie stawić się na Warmii przed oblicze kapituły i wuja biskupa, bo już obaj jesteście kanonikami.

— Nie masz chyba zamiaru osiąść na stałe nad tym zimnym morzem? — spytał Szyling niespokojnie.

— Nie wiem. Tymczasem chciałbym jeszcze wrócić do Italii na dalszą naukę. Nie uzyskałem dyplomu ukończenia studiów prawa kanonicznego. Muszę prosić kapitułę o zgodę.

— Nie daj się kanonikom.

— Italskie niebo jest łaskawe, łaskawsze od krakowskiego, a jeszcze bardziej od fromborskiego, pokrytego oparami morza. Będę walczył o powrót do tych ciepłych krajów, jak je nazwałeś. Podejmę się każdego studium, każdej służby, by móc powrócić jeszcze do przeczystych gwiazd Południa. Choć wiem, że tam w kraju oliwek i winnic tęsknić znów będę do sosnowych lasów, do dębów i grzybów leśnych, do naszej zimy, wiosny i jesieni.

— Powrócisz tu przecież.



— Na pewno.

— I wtedy będę namawiał cię, byś został w Krakowie, w gronie uczonych, zamiast powracać do tych ludzi, żyjących między prezbiterium a stodołą.

Z kolei Maciej opowiadał o swym życiu, pracy w mennicy królewskiej, samotności, o codziennych spacerach do grobu Marty.

Było już po obiedzie, w komnacie panował zmrok, miasto spoczywało w błogiej ciszy wieczornej. Siedzieli we troje — Anna w środku — na wyściełanej ławie pod ścianą. Obejmowała ich szyje.

— Anna jest wszystkim, co pozostało mi w życiu.

— Ojczy — szepnęła mała zdławionym głosem.

Zamilkli. Mikołaj nie miał odwagi odezwać się. Dopiero Maciej przerwał milczenie.

— Anna jest wszystkim, lecz na jak długo jeszcze? Na pięć lat? Na osiem?

— Na zawsze — powiedziała gniewnie.

— Za parę lat pójdiesz za kimś innym.

— Nie, nie, nie — powtarzała, szarpiąc ucho ojca. — Nigdy nie pójdę za męża. Chyba że ty ożenisz się i wypędzisz mnie.

— Córeczko...

— Wtedy pójdę za Mikołajem.

Maciej roześmiał się. Odparł: — Wobec tego niechaj Mikołaj na ciebie nie czeka.

---

## Doktorat w Ferrarze

Świt był ognisty i jak pożar rozpałał majowy dzień czerwonymi jęczorami płomieni, malującymi się na rzadko po niebie rozrzuconych chmurkach. Gdy Mikołaj otworzył okno, wtargnął do jego komnaty nocny chłód.

Spać poszedł dość późno; teraz nie mógł sobie pozwolić na wylegiwanie się. Do Ferrary mieli co prawda ruszyć ze Stachem dopiero za parę godzin, ale musiał wykorzystać okazję wysłania listu do Krakowa. Udawał się tam z Padwy jakiś znajomek Andrzeja Krzyckiego, z którym Mikołaj zaprzyjaźnił się o wiele bliżej niż z jego wujem, Piotrem Tomickim. Ostatni list wysłał Szylingowi tuż po przyjeździe do Padwy. Teraz nadarzała się okazja doniesienia wujowi i kuzynce o rychłym powrocie w rodzinne strony. Pragnął wyruszyć z Italii wcześniej, niż się tego spodziewał wuj Łukasz, pobycić nieco dłużej w Krakowie i zastanowić się nad celowością powrotu na Warmię. Otrzymanie godności scholastyka wrocławskiego wzbudziło w nim marzenie o możliwości uzyskania jeszcze jakiejś prebendy w Krakowie i stworzenia pretekstu do osiedlenia się w stolicy.

Nie zamykając okna okrył się ciepło i siadł do zarzuconego księgami stołu. Już od czytania ich mąciło mu się w głowie. W księgach matematycznych czynił notatki medyczne, w prawnych przyrodnicze, w przyrodniczych astronomiczne. Leżała otwarta jeszcze od wczorajszego wieczoru „Historia naturalna” Pliniusza, w której na jednej z kart u dołu zanotował refleksję z lektury filozoficznej: „...syrakuzanńczyk, jak powiada Teofrast, sądzi, że niebo, Słońce, Księżyc, gwiazdy i na koniec wszystko,

co jest tam na wyżynach, stoi nieruchome i oprócz Ziemi żadna rzecz we wszechświecie nie porusza się. Ona, obracając się i kręcąc dookoła osi z najwyższą prędkością, sprawia to wszystko, co miałoby miejsce, gdyby Ziemia stała, a niebo poruszało się. Niektórzy też sądzą, że także Platon w *Tymeuszu* o tym mówi, ale trochę mniej jasno”.

Na otwartej książce leżała kartka, na której zanotował myśl zrodzoną ostatniego wieczoru pod wpływem tej dawniejszej notatki. Zdołał przemyśleć te sprawy w ciągu kilku miesięcy. Nie wykluczał ruchu tamtych ciał. Był jednak zupełnie pewien, że Ziemia nie jest nieruchoma, lecz jako aksjomat przyjął tymczasem tylko ruch wirowy Ziemi. Sama idea była jednakże oszałamiająca. Gdy przymknął oczy, wirowało mu w głowie. Ale ta bogoburcza myśl była zarazem jedyną zdrową i najprostszą myślą. Odczytał teraz jeszcze raz sformułowane wczoraj zdania: „Jakikolwiek ruch dostrzegany na firmamencie nie pochodzi z samego firmamentu, lecz z ruchu Ziemi. Ziemia zatem z najbliższymi elementami odbywa w ciągu doby obrót w swych niezmiennych biegunach, a firmament wraz z najwyższym niebem pozostaje nieruchomy”.

Odłożył kartkę do stosu astronomicznych notatek. Uporządkował jeszcze rozrzucone księgi. Na jednym stosie z „*Historią naturalną*” położył traktat swego profesora medycyny, Antoniego Gazziego, „*Wieniec kwiecisty medycyny czyli zachowanie zdrowia*”, „*Mikrotegmus*” Galena, „*Aforyzmy*” Hipokratesa, „*Chirurgię*”, „*Ogród zdrowia*” i inne. Osobno odłożył książki greckie, osobno astronomiczne. Najbliżej — dzieła prawnicze, których część zamierzał zabrać z sobą na drogę.

Dopiero wtedy położył przed sobą kartkę, na której już w nocy zaczął pisać list do Krakowa. Zdołał wówczas rzucić na papier jedynie słowa powitania i pozdrowienia, gdy zmorzyła go senność.

„W Lidzbarku i Fromborku wszystko powiodło się znakomi-



cie, choć nie bez trudności. Wuj Łukasz pomógł mi w uzyskaniu od kapituły pozwolenia na dalsze nauki, motywując, że nie ukończyłem studiów prawa kanonicznego... Jeśli chodzi o mnie, to powiedział mi wręcz i bez ogródek, że mam ukorzyć się przed kapitułą, by pozwoliła mi uzyskać doktorat prawa. Prostsza była sprawa Andrzeja, który kanonikiem został później niż ja i nie było wątpliwości co do tego, że po raz pierwszy bez trudu, a nawet bez szczególnej łaski kapituły otrzyma polecenie na dokończenie studiów. Ciężką więc miałem przeprowadę pod koniec lipca, stając we Fromborku przed gronem konfratrów. Zgodzili się wreszcie na to, że niezależnie od doktoratu prawa zdobędę w ciągu dwóch lat dyplom medyka, by w przyszłości zostać doradcą lekarskim biskupa i panów z kapituły. Pojechalśmy tedy — Andrzej do Rzymu, a ja do Padwy, gdzie medycyna największym cieszy się autorytetem. Razem z nami wybrał się Bernard Skultet. Jechaliśmy najkrótszą drogą z Prus do Italii — przez Wrocław i Norymbergę.

Wymieniam te dwa miasta, bo dla mnie najważniejsze. We Wrocławiu otrzymałem drugą prebendę, mianowicie kanonię scholastyka u Świętego Krzyża, dzięki czemu moje dochody mocno się poprawiły. Otóż po drodze zatrzymałem się, by objąć nowe stanowisko, Bernard miał tam też do załatwienia sprawy finansowe, zaś Andrzej znalazł okazję do wydania części swych pieniędzy, a na co, tego się domyślasz.

W Norymberdze ubłagałem moich współtowarzyszy podróży, by razem ze mną zwiedzili miasto wielkiego astronoma Regiomontana. Jest to zresztą miasto piękne i godne poznania przez każdego, choć ponure nieco, strzeżone przez głębokie fosa, z ciężkim Burgiem, wystającym ponad śpiczaste dachy. Odwiedziłem Bernarda Walthera — ucznia Regiomontana — wysoko cenionego przez astronomów. Na Rosenburgu stoją jeszcze instrumenty autora «Epitomatu z Almagestu». A w mieście rzemieślnicy wyrabiają najznakomitsze na świecie narzędzia

astronomiczne, które niestety tylko obejrzeć mogłem, bo gdybym nawet kupić trochę ich chciał, to wozić się z ciężarami nie sposób.

Padwa — to miasto odmienne od Bolonii i Rzymu. Także ciężkie, o masywnych murach, strzeżone przez fosy i bastiony. Ale świetnych uczonych tu dużo.

Wyobraź sobie całe to szaleństwo, w jakim tu żyłem. Zapisalem się na studia medyczne, do których solidnie się wzięłem nie unikając także pokazów anatomicznych, wykonywanych każdego roku na zwłokach mężczyzny i kobiety. Równocześnie słuchołem niektórych wykładów prawniczych i czytałem wiele dzieł z tej dziedziny. Nie stroniłem też od matematyki i astronomii, bez których nie wyobrażałem sobie życia. Wreszcie kontynuowałem rozpoczętą w Bolonii naukę języka greckiego, który w Padwie ma jeszcze znakomitszych niż w Bolonii mistrzów. Kupiłem sobie grecki słownik Jana Baptisty Chrestoniusa i podręcznik gramatyki Teodora Gazy. Greka przyda mi się w studiach astronomicznych, ale przyznam się, że porwała mnie ona nie tylko dlatego. Uległem tutejszemu uwielbieniu dla greczyzny — uwielbieniu, z którym chciałbym wrócić do Krakowa, by zarażać nim wszystkich dookoła.

Pomimo takiego nawału zajęć jestem pewny, że wkrótce otrzymam tu licencjat medycyny i jesienią jako dyplomowany lekarz stanę przed fromborską kapitułą. Pojadę oczywiście znów przez Kraków, gdzie zatrzymam się dłużej, by rozważyć Twoje, Macieju, sugestie, że powinienem w stolicy oddać się pracy naukowej.

Tymczasem dziś z moim przyjacielem, Stachem z Włocławka, jadę do Ferrary, gdzie mamy obaj uzyskać doktorat z prawa kanonicznego...”

Jakby na potwierdzenie o wilku, zjawiającym się wtedy, gdy o nim mowa — Stach ukazał się w drzwiach i zawołał od progu: — Mikołaju! Ty chyba wcale nie spałeś?

Kopernik odłożył na chwilę pióro, wstał i przeciągnął się.

— Spałem — zaprzeczył. — Tyle że wyspałem się wcześniej trochę niż ty. Jeżeli chciałbyś przyśpieszyć zakończenie mojego listu do Krakowa, to zamów, proszę cię, śniadanie. Zjemy tym razem u ciebie.

Mieszkali w jednym domu, w sąsiadujących ze sobą komnatach.

Wyjechali wreszcie. Droga wiodła wzdłuż nadpadańskich rozlewisk. Z urodzajnej gleby tryskały już źdźbła kukurydzy i ryżu. Potem wjechali w lasy gęste, pachnące wiosną, parujące pod ulewą słonecznych promieni. Koła rozpryskiwały kałuże, zamieniając je w chmury kropel.

— Woda przybiera kształt kropli — mówił Mikołaj. — Wyczytałem w dziele Jerzego Valli „O rzeczach, które należy badać i których należy unikać” mądre uwagi o dążeniu materii do tworzenia kształtów kulistych. Porównuje on ciała niebieskie do kropel wody. Ale pomyśl, jest w tej książce także przekład pisemka Plutarcha „O mniemaniach filozofów”, w nim zaś rozdział „O ruchu Ziemi”. Autor przytacza nie tylko poglądy Heraklita i Ekfantesa o wirowym ruchu Ziemi, lecz także mniemanie Filolaosa o ruchu postępowym Ziemi po nachylonym kole wokół ognia. To pierwsze potwierdza moją sformułowaną już tezę. To drugie zaś zaciekawia i korci. Chwilami przychodzi mi na myśl, że wszystkie planety krążą wokół Słońca. Potwierdzenie tego domysłu niesłychanie uprościłoby całe zagadnienie budowy świata.

— Ależ Mikołaju! — zawołał Stach. — Nie mam nic przeciw tym hipotezom, ale chociaż nie nazywaj prostymi rzeczy tak nieprawdopodobnych!

— Przepraszam cię. Zawsze twierdzę, że są to sprawy tylko dla matematyków, a zarazem korci mnie nieustannie, by zwierznąć się z nich byle jurystom.

— No, no!



— Cóż pocznę, taki już los, że mam jurystę za przyjaciela, a na domiar złego sam zabiegam o kreowanie na jurystę. Ale przyznaj, Stachu, że cię astronomia porywała, gdy pomagałeś mi w obserwacjach i obliczeniach...

Na takich i innych rozmowach zeszyły im dwa dni podróży. Częściej jednak dialog dotyczył problemów prawa. Dla poparcia swych tez i dla przypomnienia niektórych szczegółów sięgali do wiezionej z sobą otwartej skrzynki z książkami i w nich znajdowali odpowiednie teksty.

Ferrara leżała na uboczu walk, wciąż jeszcze toczonych w Italii między książętami, a także prowadzonych z Francuzami. Intrygi i morderstwa były w tym kraju pospolite, lecz mieszkańcy Ferrary spokojniej niż mieszkańcy innej części Italii żyli pod panowaniem książąt Este, uprawiając rolę, łowiąc ryby, trudniąc się rzemiosłami. Prócz smacznych, sławnych na cały kraj kiełbas jadalni także żaby w potrawce, za co w całej Italii ich wyśmiewano.

Mikołaj przejeżdżał już swego czasu przez to miasto, pamiętał widoczny z oddali czterowieżowy zamek i dziwną pięciobramną katedrę. Szerokie ulice wiodły między ogrodami i pałacami. Nędzne domki rzemieślników skupiły się w osobnej dzielnicy. Ale przyjaciele zamieszkali jeszcze gdzie indziej, tuż przy uniwersytecie jurystów, na stacji utrzymywanej przez franciszkanów, w której otrzymali dla siebie wspólną, niedużą izdebkę.

Ledwie się w niej urządzili, wypoczęli po podróży i zjedli w pobliskiej austerii wieczerę, gdy uczynił się wieczór. Ułożyli się więc do snu. Ten jednak długo nie przychodził. Kopernik miał głowę pełną spraw prawniczych, choć Ferrara była dlań miastem wielkich odnowicieli badań astronomicznych: Peurbacha i Regiomontana oraz ich protektora kardynała Bessariona. Była miastem Bianchiniego i jego ucznia Dominika Marii Novary — wielkiego nauczyciela, któremu tyle zawdzięczał.

Nazajutrz od samego rana poszli do miasta, by odnaleźć Antoniego Leutiego — słynnego profesora jurystę, którego zazwyczaj wszyscy cudzoziemcy wybierali sobie na promotora. Byli z nim już w korespondencyjnych kontaktach i znany z niebywale pamięci uczony zgodził się patronować ich egzaminowi, na drugiego promotora proponując Filipa Bardellę.

Zabiegi wokół otwarcia obu przewodów doktorskich trwały kilka dni. Uzgodniono w pierw dogodny dla profesorów termin egzaminu próbnego, którego przebieg okazał się bardzo pomyślny. Potem kandydaci złożyli przełożonemu kolegium opłaty za promocję i dokumenty o odbyciu wymaganych lat studiów oraz wszystkich ćwiczeń i dysput. Dopiero wtedy Leuti i Bardella zaprezentowali Mikołaja i Stanisława doktorom i wikariuszowi generalnemu biskupstwa. Promotorzy złożyli o każdym z kandydatów osobno oświadczenia, że uważają ich za przygotowanych do egzaminu. Po czym podali tematy.

Wreszcie w oznaczonym dniu — już we czterech z Leutim i Bardellą — weszli do pałacu biskupiego. Marmurowa kolumnada loggi podziałała uspokajająco, jakby chłodziła. Mikołaj dotknął ręki Stacha — nie drżała już, więc uśmiechnął się doń z uznaniem. Doktorzy i inni uczestnicy uroczystości zbierali się na krużganku ogrodowym. Zieleń i migocące na niej promienie słońca odwracały uwagę od tego wszystkiego, co kotłowało się w głowach, zresztą sam ceremoniał witania się z przybywającymi zmuszał do opanowania.

Gdy w końcu komisja zajęła miejsce w sali przy długim stole, Mikołaj odsunął się na bok i siadł po drugiej stronie, w pobliżu schodów wiodących na zewnątrz.

Członkowie kolegium zasiadali według starszeństwa, wszyscy w barwnych uroczystych strojach. Przybył i rektor uniwersytetu jurystów, Giovanni Andrea de Lazaris. Osobno — kładąc przed sobą przybory i papier do protokołowania — zajął miejsce notariusz kolegium jurystów ferraryjskich, Bartolomeo de Silve-

stris, a z drugiej strony, naprzeciw niego, notariusz kurii biskupiej, Tomaso Meleghini.

Pierwszy wszedł na katedrę Stach, a promotorzy rozłożyli na stole dwie duże księgi: „Decreta” i „Decretalia”. Wtedy Mikołaj odwrócił się, przestał interesować się przebiegiem egzaminu. Wsparł łokcie na kolanach, dłońmi zakrył uszy, wzrok utopił w listowiu krzewów, widocznych przez otwarte okno. Teraz przypomniał sobie słowa profesora Bardelli, wypowiedziane przed dwoma dniami, że po promocji egzaminatorzy zasypywać go będą pytaniami dotyczącymi gwiazd i planet, gdyż wszyscy słyszeli o jego nowych poglądach, a wśród gości znajdzie się Celio Calcagnini — chrześniak Leutusa, nieślubny syn ferraryjskiego arystokraty, znany humanista, historyk, poeta, filozof i przyrodnik. W trakcie powitań Bardella zwrócił mu uwagę na tego oryginała, który siedział teraz trochę na boku, razem z innymi gośćmi nie należącymi do komisji egzaminacyjnej. Był to już starszy człowiek, z rudą brodą i wysokim czołem, przechodzącym w głęboką łysinę. Bardzo go ponoć interesowała sprawa obrotów Ziemi.

Gdy z Calcagniniego przeniósł Mikołaj wzrok na Stacha, ten schodził właśnie z katedry. Profesorowie zaś w krótkim czasie otoczyli go kołem. Egzamin był już zapewne skończony. Kopernik wstał więc i zbliżył się do grona. Gratulacje nie trwały długo, wszystkim śpieszyło się do przeprowadzenia drugiego egzaminu. Zeszło jednak jeszcze parę minut na rozmowach, nim następny kandydat stanął na katedrze.

Mikołaj rozejrzał się po obecnych, próbował wyczytać z ich twarzy, czego się po nim spodziewają, wyczuł raczej samą tylko ciekawość. Usłyszał wreszcie trzy pytania — wszystkie z dziedziny prawa kościelnego, choć jedno z nich dotyczyło zarazem i prawa cywilnego, wymagało bowiem sprecyzowania kolizji, jakie mogą zajść na styku tych dwu prawodawstw. Dwa ostatnie wiązały się z problematyką kanoniczną.



Zaczął mówić głosem zrównoważonym. Pytania były dlań proste. Nie mąciły też spokoju wtrącane raz po raz zarzuty, w których stawianiu najgorliwsi byli co młodsi doktorzy. Odpowiadając, odczuwał właściwie już tylko ulgę na myśl, że życzeniu wuja Łukasza wreszcie stanie się zadość. Otuchy dodawał mu widok twarzy, na których malowała się aprobata. Wreszcie *privata examinatio* dobiegła końca. Notariusz kolegium jurystów rozdał doktorom kartki, na których po jednej stronie wypisano „Approbo” a po drugiej „Reprobo”. Egzaminatorzy czynili na nich znaki. Zebrawszy kartki pedel podał je kanclerzowi Priscianowi. Ten przejrzał wszystkie, odłożył na bok, podniósł się i oświadczył donośnym głosem:

— Wszystkie głosy „Approbo”, przeciwnych nie ma.

Zacząła się teraz część druga, czyli *publica examinatio*. Kopernik jeszcze raz zabrał głos, by wykazać się umiejętnością wymowy. To już była dla niego zupełna fraszka. Mikołaj, choć uchodził raczej za mruka, to jednak w całonocnych niekiedy kłótniach z astronomami nabrał wprawdy w posługiwaniu się zasadami retoryki.

Mówił długo, a gdy skończył, odezwały się brawa.

Gdy oklaski ucichły, podniósł się z miejsca główny promotor, Antonio Leuti, i zaczął kroczyć ku niemu z insygniami doktorskimi w rękach. Mikołaj zszedł z katedry i podążył mu naprzeciw. Stanęli twarzą w twarz. Odebrał od profesora księgę i słuchał jego słów, wypowiedzianych głosem pełnym wzruszenia:

— Doktorze Mikołaju Koperniku, podaję ci tę oto księgę, abyś wiedział, że powinienes usilnie zachować w pamięci to, czegoś się nauczył. — A otworzywszy księgę na chwilę, mówił dalej: — A oto otwieram ją, byś zrozumiał, że powinienes także przez ćwiczenie wiedzę swoją rozszerzać.

Następnie promotor włożył licencjatowi biret na głowę. Na to granatowe, czterema rogami zdobne nakrycie głowy Mikołaj już długo z upragnieniem spoglądał.

— Kładę ci na głowę ten oto biret, ponieważ zasłużyłeś sobie na to przezwycięzeniem samego siebie i dzielną walką za swoją kwitnącą akademię.

Wreszcie wsunął mu na palec złoty pierścień.

— Weź ten pierścień, ażebyś pamiętał, iż tak właśnie wiernie powinienes wypełniać boskie przykazania sprawiedliwości, jak małżonka musi stać u boku męża, a podobnie jak najczystszym zostałeś zaślubiony metalem, tak cokolwiek byś zamysłał uczynić, powinienes przeprowadzić czystym i szczerym sercem. Na koniec zaś składam na twoim policzku pocałunek pokoju, abys mógł na pokój zasłużyć, siejąc go i stając się nie sprawcą niesnasek, lecz zgody.

To powiedziawszy ucałował Kopernika w policzek. Wtedy wikariusz generalny biskupstwa, Georgius Priscianus, rzekł od stołu:

— Potwierdzam to błogosławieństwo, a także przychyliam się do prośby i decyzji promotora. Czcigodny i wielce uczony mąż pan Mikołaj Kopernik de Prusia, kanonik warmiński i scholastyk kościoła Świętego Krzyża we Wrocławiu, który studiował w Bolonii i Padwie, został zatwierdzony w prawie kanonicznym i doktoryzowany.

Doktorzy i goście otoczyli go. Gratulacje trwały dość długo. Wreszcie rektor dał znak opuszczenia sali. Musieli udać się wszyscy na przyjęcie, którego przygotowanie należało do nowo kreowanych doktorów. Ale ci nawet nie wiedzieli, dokąd idą. Leuti bowiem oświadczył podczas jednej z rozmów, że pomoże obcokrajowcom w zorganizowaniu przyjęcia za pośrednictwem jednego z miejscowych przyjaciół.

Niecodzienny pochód ruszył ulicami Ferrary. Otwierał go stąpający uroczyście pedel w fioletowym płaszczu, stukając srebrną laską, która była emblematem uniwersytetu. Za nim szedł powolnym krokiem rektor de Lazaris, wiodąc z sobą nowych doktorów: z lewej strony Mikołaja, a z prawej Stacha.

Obaj kroczyli w nowych, błyszczących biretach na głowach i z księgami w rękach. Za nimi luźną grupą posuwali się doktorzy, pisarze i przybyli na uroczystość promocyjną goście. Dalej gromada gapiów, stale zwiększająca się.

Droga nie była jednak daleka. Na jednej z bocznych uliczek Leuti wysunął się do przodu i wszedł do ogrodu, w którym stał nowy pałacyk; taki sam, jaki pamiętał Mikołaj z Bolonii — ten mianowicie, w którym mieszkała dawna służebna z Torunia, Anna.

Kopernika tknęło złe przecucie. Bał się Anny. Ta wykształcona humanistka, wbrew wszelkim oczekiwaniom, odwodziła myśl jego od nauki, którą sama zdobyła z takim bohaterstwem i poświęceniem; sprowadzała jego uczucia do cielesnych pragnień.

Ale gdy goście radosnymi okrzykami powitali Annę stojącą na progu domu, Mikołaj przeżył taką samą radość jak wszyscy. Gdyby wierzył w uroki, byłby powiedział, że rzuciła nań złe moce. Wiedział, że ta kobieta włada nim mimo wszystko, że jej widok odbiera mu siłę woli. Lecz w tej chwili ta świadomość go nie przerażała.

Była piękna, jeszcze piękniejsza niż w Bolonii i jakby młodszą niż przedtem, młodsza nawet niż w Toruniu. Zaiste, czarowała. Spływała z niej długa, wspaniała suknia — niebieska, nakrapiana złotymi gwiazdkami.

— Samo niebo wyszło na powitanie wielkiego polskiego astronoma — usłyszał czyjś głos.

Wchodzili do obszernej komnaty, w której stały pełne jadła i napojów stoły. Anna prowadziła rektora, nowo kreowani doktorzy postępowali za nimi. Lecz już po chwili była przy Mikołaju. Czuł tchnienie jej oddechu, gdy mówiła:

— Pozwól, że pocałunkiem złożę ci najszczęśliwsze życzenia i gratulacje.

To rzekłszy dotknęła ustami jego warg. Na chwilę zakołowało



mu się w głowie, ale nagłym zrywem woli zapanował nad sobą. Ta kobieta całowała go w usta, jak miłośnica czule i namiętnie, a chwila tego pocałunku wydawała mu się wiecznością. Gdy oderwała nareszcie wargi, pochwycił jej rękę i zaczął prowadzić gospodynię ku swym promotorom, aby tylko nie patrzeć jej w oczy, aby tylko móc mówić rzeczy obojętne.

Od razu otoczyli go doktorzy i zgodnie z przewidywaniami rozmowa zeszła na tematy astronomiczne. Zagaił je, także zgodnie z przewidywaniami, Calcagnini.

— Głosisz, doktorze, niebywałe rzeczy. Ale ja stoję po twojej stronie, bo zaiste, o wiele słuszniej jest obrót Ziemi niż niebu przypisać. Rację masz, że człowiek filozoficznie myślący powinien zważać nie na świadectwo oczu, lecz rozumu, że świadectwa oczu trzeba czasem zaniechać. Słusznie powtarzasz za poetą, że gdy odpływamy z portu, to ziemia i miasta wstecz pomykają. Cudowne porównanie! Jakież przekonywające!

Kopernik skromnie dodawał dalsze argumenty na poparcie swych tez, wyjaśniając, że i obliczenia matematyczne z nimi się zgadzają. Przerwał jednak swój wywód już po chwili, bo na drugim końcu komnaty Anna — otoczona najwyższymi przełożonymi uniwersytetu — podnosiła toast na cześć nowo kreowanych doktorów. Niektórzy z gości okrzykami przyłączyli się do jej życzeń. Wypito wino, ten i ów sięgnął po jadło. Calcagnini zaczął teraz zgłaszać swe wątpliwości:

— Jakżeż to jednak możliwe, by Ziemia w ciągu dwudziestu czterech godzin wykonała całkowity obrót? Biorąc za punkt wyjścia rachunek Eratostenesa, obliczającego jej obwód na trzysta piętnaście setek tysięcy kroków, i twierdzenie Ptolemeusza, że ciała gwałtownym pędem porwane okazują się niezdolne do skupienia, Ziemia już dawno powinna się rozpaść.

Argumenty te znudziły już Mikołaja, słyszał je niezliczoną ilość razy. Na szczęście nie stanowiły jeszcze takiej bzdury, jak gadanie o tym, że antypodzi musieliby chodzić do góry nogami

i pospadać z Ziemi. Calcagnini był zbyt inteligentny i uczony, by powtarzać te niedorzeczności. Nie ustrzegł się jednak tej o groźbie rozpadnięcia się Ziemi. Kopernik zaczął więc odpowiadać mu, biorąc pod wzgląd zarówno jego poziom umysłowy, jak i okoliczności tego dnia. Wytlumaczył więc cierpliwie, że ruch Ziemi nie pochodzi od zewnętrznej przyczyny, lecz jest jej przyrodzony, a jako taki sprawia skutki wręcz przeciwne. Zaś ciała swobodne na Ziemi przyjmują jej ruch, obraca się ona przecież razem ze wszystkimi rzeczami, nawet z wodami, nawet z najbliższą częścią powietrza. Każdy zresztą łatwo może się przekonać, że Ziemia wszystko przyciąga.

Rozmowa trwała długo, przerywana toastami. Rozmówcy zmieniali się — jedni odchodzili do grona dalszych gości, inni przyłączali się do astronomicznej debaty. Budziły się dlatego coraz to nowe wątpliwości. Trzeba było wielkiej cierpliwości, by spokojnie je wyjaśniać. W pewnej chwili na twarzy Kopernika musiała ukazać się oznaka zniecierpliwienia, bo jeden z doktorów powiedział zgryźliwie:

— Słusznie nasz młody doktor głosi, że jego nauka daleka jest od sądów pospółstwa. Nie pytajcie tedy za wiele.

Mikołaj byłby może zareagował gniewem, gdyby nie Anna, która zjawiła się jak na zawołanie, stanęła obok niego i oświadczyła z czarującym uśmiechem:

— Zaprawdę, Mikołaju, podziwiam twój szacunek, z jakim odnosisz się do tego, co mówią nasi wielce uczeni goście. Widzę, że darzysz Ferrarę takim samym uznaniem, jakim ona darzy ciebie.

To było mistrzowskie posunięcie. Skłonił się i pocałował rękę, którą mu podała. Był jej w tej chwili rzeczywiście wdzięczny, bo sam nie potrafiłby tak dworsko wyklamać się. Lubił i przywykł mówić po prostu, to co myślał, nie siląc się na grzeczności. Tym jednym różnił się od wielu innych humanistów.

Anna pociągnęła go już na dobre za sobą, prowadząc do

innej grupki gości, toczących rozmowę na zupełnie odmienne tematy. W ten sposób Calcagnini pozostał z kilkoma doktorami. Zresztą niektórzy z gości zaczęli już stopniowo wymykać się, więc i otaczające go grono malało. Dopiero jednak bardzo późnym wieczorem odchodzili ostatni.

Mikołaj ze Stachem wyprowadzili ich za próg, jak przystało fundatorom przyjęcia. Wtedy Anna powiedziała:

— Cieszę się, Mikołaju, że pragniesz ze mną pozostać i porozmawiać w cztery oczy o naszych dawnych wspólnych sprawach.

Spojrzał na nią zaskoczony. Znowu postąpiła typowo po swojemu, z mistrzowskim sprytem. Stach zaczął prędko żegnać się. Gdy wyszedł, Mikołaj stał przed nią oszołomiony, bezwolny, słaby. Uświadomił sobie to, że jest zmęczony długimi miesiącami okrutnie ciężkiej pracy umysłowej. I to, że ma za sobą ważny etap kształcenia, że raz na zawsze pozbył się kłopotów z prawem.